NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 24 kwietnia 1909. Nr. 17.

Zemsta sułtana.

(Treść na str. 2).



TREŚĆ NUMERU: **Na karę śmierci.** — Wędrówki robotników. — Manifestacya hołdownicza. — **Rewolta w Turcyi.** — Niepewny tron. — Strejk w północnej Francyi. — Koniec karyery. — Niebezpieczny konkurent. — Nowy profesor wszechnicy Jagiellońskiej. — Ujęcie włamywacza-świętokradzcy. — Match footballowy. — Nauczycielski kurs sadowniczy i t. d.

Zemsta sułtana.

(Do illustracyi tytułowej).

Pod naciskiem Młodoturków, któremu na razie nie był w stanie się oprzeć, padyszach Abdul Hamid przywrócił, jak wiadomo, w roku ubiegłym zawie-



Na karę śmierci: Prokurator dr. Pieracki.

szoną w 1877 r. po czteromiesięcznym niespełna żywocie, konstytucyę. On, krwiożerczy despota, uważający się w swej godności kalifa i sułtana za nieograniczonego władcę swych poddanych, tak dobrze prawowiernych wyznawców proroka, jak i niewiernych giaurów, musiał ustąpić przed wolą ludu, który pomimo wszystkiego, budzi się do nowego życia. Ustąpił — ale w duszy zaprzysiągł zemstę Młodoturkom.

Jakkolwiekbądź zostanie wyjaśniona sprawa ostatnich krwawych zaburzeń nad Bosforem — to



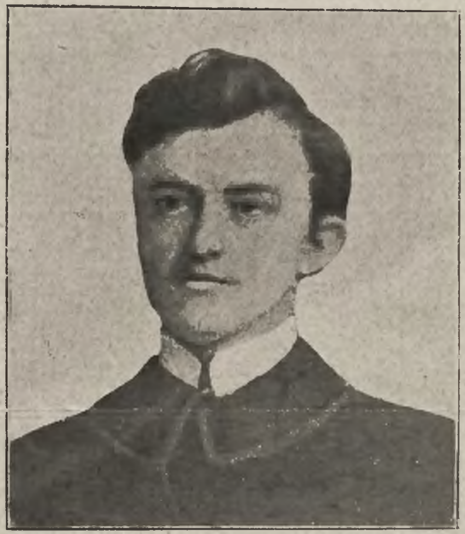
Na karę śmierci: Obrońca dr. Starosolski.

jedno kwestyi nie ulega, że sułtan był jednym z ich moralnych inicyatorów i że na niego spada krew ofiar niewinnie pomordowanych, pomiędzy którymi było wielu dobrych patryotów tureckich.

Rycina nasza, sporządzona wedle nadesłanego nam szkicu, przedstawia scenę zamordowania jednego z młodotureckich patryotów i działaczy, dokonanego w oczach Abdul Hamida na jego wyraźny rozkaz i to przez podwładnych mu żołnierzy.

Ofiara nazywała się Ali Neki. Był to dowódca jednego z panserników tureckich, stojących na kotwicy przed pałacem sułtana. Gdy tylko wybuchła kontrewolucya, kazał on nabić działa i skierować je na miasto. Przeliczył się jednak, rachując na posłuszeństwo swych podwładnych, których pozyskała już sobie potajemna agitacya reakcyi. Nie usłuchali oni jego rozkazu, lecz rzucili się nań, związali i przywiedli przed oblicze padyszacha do Ildiz-kiosku. Na zapytanie, co mają z nim uczynić, odrzekł Abdul Hamid, że mają go oddać w ręce straży pałacowej, a ta postąpi z nim w myśl przepisów koranu, jako z takim, co się chciał targnąć na życie kalifa. Przytem podniósł on ręce do góry. Zbuntowani marynarze zrozumieli to jako rozkaz doraźnej egzekucyi i z okrucieństwem, właściwem Turkom, zamordowali swego kapitana.

Sułtan po dokonaniu mordu miał przelewać łzy krokodyle, lecz te nic już pomódz nie mogły biednemu Ali Neki, który padł ofiarą wyrafinowanego okrucieństwa i zemsty swego władcy.



Na karę śmierci: Mirosław Siczyński.

Na karę śmierci.

Rok minął właśnie od krwawej a tak pamiętnej zbrodni, której ofiarą padł namiestnik Galicyi ś. p. Andrzej hr. Potocki. Wspomnienie tej ponurej tragedyi odżyło w sercach całego społeczeństwa polskiego z powodu procesu, jaki toczył się przez trzy dni ubiegłego tygodnia przed lwowskim sądem przysięgłych przeciw mordercy śp. namiestnika, Mirosławowi Siczyńskiemu.

Był to już drugi proces w tej sprawie, gdyż wyrok pierwszy, zasądzający mordercę na karę śmierci, został przez najwyższy trybunał zniesiony.

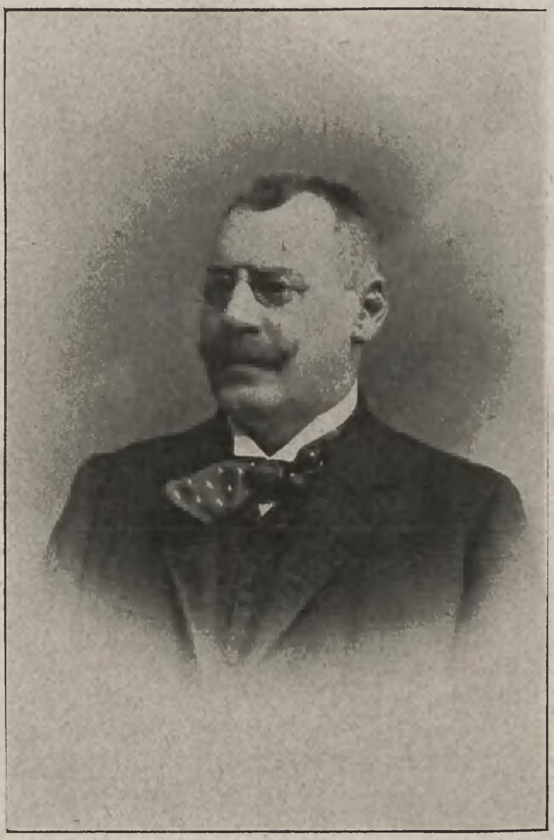
Proces drugi trwał całe trzy dni, ponieważ bardzo obszernie omawiano sprawę poczytalności zbrodniarza, tę sprawę, która spowodowała zniesienie pierwszego wyroku.

Rozprawę prowadził prezydent sądu karnego Stanisław Miłaszewski, wotowali radcy Rybicki i Terlecki, oskarżał zast. prokuratora dr. Pieracki, bronili dr. Kost Lewicki i dr. Starosolski.

Interesującym momentem rozprawy były zeznania oskarżonego, który oświadczył tym razem z całą stanowczością, iż zamiarem jego było pozbawić hr. Potockiego życia. Zeznania te oraz orzeczenie lekarzy-psychiatrów, stwierdzające, że stan umysłu oskarżonego był i jest zupełnie normalny, zadecydowały o wyniku rozprawy i o losie Siczyńskiego. Wobec takich dowodów, sędziowie przysięgli nie mogli wydać innego werdyktu, jak tylko potwierdzający pytanie w kierunku zbrodni morderstwa, a zaprzeczający istnienie nieodpornego przymusu psychicznego. Równocześnie jednak sędziowie przysięgli wnieśli jednogłośnie prośbę do trybunału, by przedstawił Siczyńskiego łasce monarszej.

Na mocy tego werdyktu zasądził trybunał oskarżonego na karę śmierci przez powieszenie.

Sprawiedliwości stało się więc zadość. Wyrok zapadł surowy, ale sprawiedliwy. I był on konieczny, by nie otworzyć w kraju naszym bram anarchii i terrorowi. O śmierć Siczyńskiemu nikomu nie idzie. Sędziowie przysięgli dali temu wyraz w swej prośbie o ułaskawienie, którą w całem społeczeństwie



Na karę śmierci: Prezydent Stanisław Miłaszewski.

przyjęto z uznaniem. Niech żyje i w więzieniu rozpamiętywa swą zbrodnię, niech za nią pokutuje tak, jak zasłużył.

Wędrówki robotników.

Nadeszła wiosna a z nią sezon wędrówek robotników rolnych, opuszczających masami wsi rodzinne, a zdążających za zarobkiem do obcych krajów. Galicya bowiem, choć kraj przedewszystkiem rolniczy, nie może dać wszystkim rękom, potrzebującym pracy, dostatecznego zarobku. Więc robotnicy



Na karę śmierci: Obrońca poseł dr. Kost' Lewicki.

nasi wędrują na zachód, do Prus, do Saksonii, Bawaryi itd., a także do Czech, a nawet Francyi, gdzie wysoko rozwinięty przemysł zabiera ogromną większość sił roboczych, tak że brak ich do uprawy roli.

Transportem robotników rolnych i dostarczaniem im pracy zajmują się rozmaite prywatne przedsiębiorstwa, obliczone na zysk przedewszystkiem, oraz miejskie biuro pośrednictwa pracy, które ma na celu dostarczanie wychodźcom zarobków, opiekę nad nimi i uchronienie przed wyzyskiem ze strony bądź nieuczciwych pośredników, bądź niesumiennych pracodawców.

To też z roku na rok wzrasta ilość klientów miejskiego biura pracy, a robotnicy z zaufaniem garną się pod jego opiekę. Biuro to zaś ze swej strony usiłuje skierować wychodźtwo sezonowe nie do Prus, lecz do Czech i Francyi, a w ostateczności wysyła robotników do innych krajów niemieckich.

Ruch wychodźczy i w tym roku jest bardzo żywy. Tysiące za tysiącami podążają na Zachód. Codziennie widzieć można na ulicach Krakowa gromadki robotników obojga płci, z tobołami na plecach, zdążających partyami na dworzec kolejowy.

Największy ruch panuje około miejskiego biura pośrednictwa pracy przy ul. Jabłonowskich. Nie mogąc pomieścić się w lokalnościach biura, gromadzą się robotnicy na dziedzińcu a nawet w ulicy i rozprawiają o swoich losach.

Między robotnikami galicyjskimi znalazła się w ostatnich dniach i partya robotników-wychodźców z Królestwa Polskiego. Przybyli oni do Krakowa z ziemi Lubelskiej i oddali się pod opiekę biura pracy, które zamierza wysłać ich do Czech lub do Francyi. Myśl ta podobała się bardzo robotnikom.

Zanotować tu warto, iż robotnicy z Królestwa padają w Galicyi często ofiarą wyzysku, przy sposobności zamiany rubli na monetę austryacką. Opowiadali oni, że nawet przy kasie kolejowej w pewnej miejscowości galicyjskiej, otaksowano ruble, którymi płacili za bilety jazdy, znacznie niżej, niż opiewa rzeczywista ich wartość. Smutne to, że nawet osoby, zajęte w publicznych instytucyach, puszczają się na tego rodzaju spekulacye.

Ryciny nasze przedstawiają grupę robotników z Galicyi i grupę z Królestwa Polskiego.



Na karę śmierci: M. Siczyński, w towarzystwie dozorców i zarządcy więzień p. Mayera, w drodze z celi do sali rozpraw.



Na karę śmierci: Olena Siczyńska, matka zasądzonego.



Wędrówka robotników: Grupa robotników rolnych z Królestwa polskiego.



Manifestacya hołdownicza: Tłumy ludności wiedeńskiej przed pałacem cesarskim w Schönbrunie.

Manifestacya hołdownicza.

Minęło niebezpieczeństwo wojny między Austryą a Serbią, niebezpieczeństwo, którego groza przez tyle miesięcy wisiała nad całem państwem.



Koniec karyery: Henryk Caruso.

A jeśli minęło szczęśliwie, to zasługa to przedewszystkiem sędziwego monarchy austryackiego, cesarza Franciszka Józefa, który czynił wszystko, co w mocy jego leżało, który okazał się gotów do najdalej idących ustępstw, byle tylko zapobiedz rozlewowi krwi i innym strasznym skutkom wojny.

Gdy więc zapanował spokój, postanowiła gmina miasta Wiednia urządzić na cześć cesarza Franciszka Józefa wielką manifestacyę hołdowniczą i dziękczynną, jako wyraz uczuć wdzięczności ludów austryackich za utrzymanie pokoju.

W manifestacyi tej, która odbyła się w ubiegłą niedzielę w Schönbrunie przed pałacem cesarskim, wzięły udział nieprzejrzane tłumy publiczności ze wszystkich sfer. Gdy cesarz wyszedł ze swego gabinetu, przemówił doń imieniem ludności burmistrz Wiednia dr. Lueger, wskazując na ofiarność wszystkich ludów Austryi i gotowość do walki w obronie państwa, a dziękując monarsze za mądrość i cierpliwość, okazaną przy usunięciu niebezpieczeństwa wojny.

Za owacyę tę i hołd podziękował sędziwy monarcha w gorących wyrazach, a następnie zauważył, że istotnie poważna i groźna chwila minęła. „Napełnia mnie — mówił cesarz — rzadkiem zadowoleniem, że tylko patryotyczne usposobienie wszystkich moich ludów i gotowość mojej armii, napełnionej najlepszym duchem, dały możność utrzymania pokoju. Słuszna i nie dająca się odwrócić wojna żąda wielu ofiar, bogatsze błogosławieństwo daje z honorem zachowany pokój“.

Gdy cesarz skończył mówić, odśpiewał chór wiedeński pieśń uroczystą, poczem zebrane przed pałacem tłumy poczęły się rozchodzić do domów.

Podniosła ta uroczystość wypadła wspaniale. Zaznaczyć przytem należy, że mimo natłoku z powodu zgromadzenia się w parku schönbruńskim tysięcy ludzi, nie było żadnego wypadku.

Jak liczny był udział ludności w manifestacyi, widać najlepiej na naszej rycinie.



Wędrówki robotników: Robotnicy galicyjscy przed wyruszeniem na roboty.

Związek warsztatów studenckich.

Z inicyatywy polskiego Muzeum szkolnego i Ligi pomocy przemysłowej, urządzono we Lwowie, jak donosiliśmy, wystawę wyrobów warsztatów studenckich, z której to wystawy zamieściliśmy parę zdjęć w poprzednim numerze.

I dziś sprawie tej poświęcimy kilka uwag a to z okazyi zjazdu i obrad kierowników warsztatów studenckich. Zjazd ten odbył się w niedzielę 18 bm. w lokalnościach Muzeum przy ul. św. Mikołaja.

Po dłuższej dyskusyi, która odbyła się pod przewodnictwem przewodniczącego zarządu polskiego Muzeum szkolnego posła dr. Ludomiła Germana i dyrektora Ligi pomocy przemysłowej p. Józefa Olszewskiego, uchwalono utworzyć Związek warsztatów uczniów szkół średnich. Do zarządu związku wybrani zostali: Dr. German, jako prezes, dyrektor Olszewski, jako zastępca prezesa, prof. Łukasiewicz, jako sekretarz.

Zarząd Związku zająć się ma wprowadzeniem w życie myśli, podniesionych podczas obrad, a zdążających do organizacyi i rozwoju warsztatów studenckich.

Spodziewać się więc należy, że przy energicznej i świadomej celu działalności zarządu nowej instytucyi, idea warsztatów studenckich jeszcze piękniej się rozwinie i przyniesie w najbliższej już przyszłości owoce i plony.

Grupę uczestników zjazdu kierowników warsztatów, z prezydyum wydziału związku zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Związek warsztatów studenckich: Grono uczestników obrad: 1. Prezes Muzeum szkolnego, radca dworu poseł dr. L. German 2. Dyr. Józef Olszewski, 3. Prof. Łukasiewicz.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

17 Ciąg dalszy.

Lecz pan Mitre trzymał oczy utkwione w Gizeli; twarz jego zbladła trupio. Dziecko spoglądało na niego niepewne i wzruszone.

Zawołał:

— Magdaleno!

Dziewczynka odpowiedziała:

— Tatko!

I już byli przy sobie, obejmując się rękami.

Pan Mitre zadyszany, rozczulony, zwrócił się do zadziwionej Joanny:

— Odrazu zobaczyłem, że to ona!

I całując swą córkę, mówił:

— Teraz już mnie nie opuścisz!

W chwili tej Maurycy Le Chars otworzył drzwi od swego gabinetu i na progu ukazała się uśmiechnięta pani de Pre-Hautre.

Widząc córkę swą w objęciach pana Mitre, stała się jak porażona gromem, zapanowała jednak nad sobą i zawołała:

— Gizelo!

Pan Mitre odezwał się wtedy do konsula.

— Widzę, że żona moja uprzedziła mnie, lecz panie konsulu...

— Pańska żona?.. — rzekł zdziwiony Maurycy Le Chars.

Więc to jest ten okrutny mąż, tyran, ten olbrzym, barbarzyńca, jak go opisała pani de Pre-Hautre. Ten biedny bez sił człowiek jest tym katem?

Joanna, która nie zawahała się ani chwili, lecz odrazu uwierzyła w szczerość opowiadania pana Mitre, wobec tego spotkania niespodziewanego zwróciła uwagę:

— Zdaje mi się, że pan zechce rozmówić się z mym mężem i panią de Pre-Hautre bez świadków. Proszę mi zawierzyć córkę na te kilka minut, może pan być o nią spokojny.

Lecz pan Mitre, może się obawiał, że mu znowu porwą dziecko, rzekł patrząc na swą żonę:

— Dwa słowa starczą, a mogę je powiedzieć głośno.

— To zbyteczne Edgardzie! — pospieszyła oznajmić pani de Pre-Hautre. — Ponieważ iesteś tutaj i domagasz się swej córki, mając za sobą prawo, ja ustępuję.

Uznała spór za bezcelowy. Przed chwilą konsul wyznał jej szczerze, że sprawa ta przedstawia się dla niej niekorzystnie.

— Mamusiu — zawołała Magdalena — proszę nie odchodzić!

— Trudno, moja Gizelo, zobaczymy się wkrótce. Uściskaj mnie.

Dotknąwszy się lekko czoła córki, wyszła pospiesznie, po złożeniu ukłonu z wielką godnością państwu Le Chars.

Pan Mitre, trzymając rękę na piersiach, oddychał ciężko. Zrobił krok naprzód, by wziąć swą córkę i wyjść, lecz siły go zawiodły i zachwiał się.

— Tatku, tatku drogi! — zawołała Magdalena, obejmując go rękami.

Pan Mitre wyszeptał słabym głosem:

— Dziecko moje... nie opuszczaj mnie!

I zanim Maurycy zdołał go podtrzymać, padł zemdlony na podłogę.

IV.

NIEBEZPIECZNE SPOTKANIE.

W dwa tygodnie potem, w wagonie pierwszej klasy pociągu pospiesznego, jadącego z Wenecyi do Medyolanu, siedziało sześciu pasażerów. Państwo Le Chars, pani Seymour i pan Mitre pośrodku Jacka i Made jechali do Paryża. Z podróżnych tych jeden pan Mitre wraz z dziećmi był zadowolony. Uśmiechał się do córki, którą wreszcie odzyskał, omal nie przypłacając tego swem życiem. Powrót do sił zawdzięczać mógł tylko państwu Le Chars, którzy zamiast odesłać go do szpitala, ulokowali w konsulacie, doglądając go jak najstaranniej. Joanna i pani Seymour, która podbiła sobie wszystkich swoją szczerością i prawością, były dla niego prawdziwemi siostrami miłosierdzia. Czuły, że wrazie śmierci ojca, Made wpadłaby w ręce matki i poszła za jej przykładem. I teraz w drodze, patrząc na jego wychudłą, bezsilną postać, obawa je przejmowała, co się stanie wkrótce z tem uśmiechniętem radośnie dzieckiem.

Maurycy, siedząc na przeciwko żony, starał się zachować pogodny wyraz twarzy, mimo iż ciężkie myśli go trapiły. Poprzedniego dnia wypłacił hr. Olovera przegrane dwadzieścia pięć tysięcy franków i teraz zdawał sobie sprawę ze wszystkich strat, jakie poniósł przy zielonym stoliku. Joanna, która od pewnego czasu coraz bardziej niepokoiła się smutkiem męża, błądziła myślą w tych czasach, gdy go po raz pierwszy ujrzała. Przypomniała sobie te straszne okoliczności, towarzyszące ich poznaniu: zamiana dzieci, rozpacz Aurory, podejrzliwość markiza, zniknięcie Wiery.

Od dziesięciu lat nie miała o niej najmniejszej wieści. Ostatni raz widziała ją w nocy przez ten otwór w ścianie, gdy Wiera przyjmowała jakichś tajemniczych posłańców. Potem jakby zapadła się w otchłań, nie dając o sobie znaku życia. Naprożno Joanna chodziła do jej mieszkania; nikt tam nie wiedział, co stało się z doktorką.

Restauracya na ulicy Raynouard, w której Joanna spędziła noc, zamieniła się teraz na sklep korzenny, który był własnością innych osób, po garbatej zaś restauratorce nie pozostało nawet śladu. Do tajemniczego apartamentu, w którym Aurora powiła syna, nie mogła na żaden sposób trafić, przyjechała bowiem i wyjeżdżała z niego ciemną nocą. Jednem słowem Wiera okryła się tajemnicą, której Joanna nie mogła przeniknąć przez te dziesięć lat.

W czasie tych rozmyślań Joanny, pani Seymour zabawiała dzieci opowiadaniem przygody, która jej się zdarzyła w Apeninach. Jadąc pewnego razu w górach samochodem tylko z szoferem, została napadniętą przez trzech opryszków. Spotkanie to przypłaciłaby niechybnie życiem, gdyby nie miała z sobą cudownej parasolki, w rączce której znajdował się maleńki motor elektryczny, o dość wielkiej sile. Opryszki pod dotknięciem się tej parasolki padali na ziemię bez czucia.

Dzieci spoglądały z szlachetnym podziwem na panią Seymour.

— Chciałbym widzieć pani samochód — odezwał się Jacek.

— I parasolkę także — dodała Made.

— Zobaczycie to, gdy przyjedziemy do Francyi. Samochód oczekuje na mnie w Medyolanie razem z Doddy.

— Czy to pani szofer — zapytał Jacek.

— Szoferka — odrzekła, śmiejąc się pani Seymour.

— Jakto, to ona jest kobietą? — zadziwiła się Made.

— Tak, moje dziecko. W Ameryce kobiety robią wszystko, by zapracować na życie. Powiem wam, że ja także zdałam egzamin na szofera i mogę reperować swój samochód jak i Doddy.

— To niemożliwe! — zawołała Made.

— A przypuśćmy, że Doddy zachorowałaby nagle w Apeninach, cóż jabym wtedy robiła?

— Tak, to prawda — potwierdził Jacek.

— Przytem Doddy nie jest Amerykanką, lecz Francuską, którą bardzo lubię za jej odwagę i szczerość.

Dzieci pozostały przez chwilę zamyślone, aż wreszcie Jacek przerwał ciszę:

— Mamusiu, czy mogę iść do Ludwiki po winogrona; pić mi się chce bardzo.

— Pójdę z tobą — rzekła Joanna.

Przeszli przez długie korytarze wagonów do przedziału drugiej klasy, gdzie Ludwika, usadowiwszy się wygodnie, drzemała wśród całego stosu pakunków. Po wydobyciu z koszyka kilku gron, powracali tą samą drogą, gdy naraz Joanna zatrzymała się przed jednym przedziałem pierwszej klasy. Sądziła.... Istotnie bywają dziwne podobieństwa... A jeżeli to istotnie ta garbata restauratorka z ulicy Raynouard, przyjaciółka Wiery, pani Berty. Lecz dlaczego jest tak elegancko ubrana według ostatniej mody, choć trzeba przyznać, iż ta toaleta daleko odpowiedniejsza była dla jej postaci, niż zużyte suknie, w których chodziła dawniej. W chwili tej zwróciła oczy na Joannę, lecz popatrzyła z zimną obojętnością, jak się patrzy na zupełnie obcego i nieznajomego człowieka. Joanna zmieszana tem spojrzeniem, nie śmiała przyglądać się jej bliżej. Przed swym przedziałem spotkała męża, który wyszedł przejść się po korytarzu.

— Proszę zgadnąć — odezwał się po cichu — z kim mamy zaszczyt jechać? Wysoka osobistość incognito?

— Król włoski?

— Nie. Incognito to byłoby łatwo zdradzone.

— Z jakiego kraju? — zapytał pan Mitre. — Anglia? Niemcy?

— Wszystko nie to.

— Bułgarya? — dodała pani Seymour.

— Zgadła pani, wielki książę X., na którego życie już tyle razy czynili zamach rewolucyoniści.

— Oby tylko jaka bomba nie wybuchła teraz — odezwała się pani Seymour.

Joanna przy tych słowach zbladła. Możebność czegoś podobnego przestraszyła ją. Zwróciła się do męża:

— Pokaż mi go, chciałabym go widzieć.

— To bardzo łatwo. By nie zwracać na siebie uwagi, jedzie tylko w wagonie salonowym, niestrzeżony zupełnie. Przechodząc, rzuć na niego mimowoli okiem.

Poszła za mężem: w oddzielnym wagonie ujrzała siedzącego w fotelu wysokiego, szczupłego mężczyznę, z ostrym długim nosem i żywych oczach. Na kolanach trzymał dziennik, którego nie czytał: przy nogach leżał wielki wspaniały dog.

Joanna wróciła zamyślona na swe miejsce. Zrodziło się w niej podejrzenie, czy obecność pani Berty — gdyż to z pewnością ona musi być — nie jest przypadkiem w pewnym związku z osobą wielkiego księcia.

Tymczasem dano znać, że już nadeszła pora obiadowa: wszyscy udali się do wagonu restauracyjnego z wyjątkiem tylko pana Mitre, który pro sił o szklankę bulionu, o ile która z pań zechce mu ją przysłać. Podjęła się tego Joanna, która przyprowadziła osobiście chłopca restauracyjnego do przedziału. Wracając zauważyła, iż pani Berty siedzi na swojem miejscu. Joanna zawsze panująca nad sobą, nie mogła oprzeć się ciekawości i weszła do coupée.

— Proszę mi wybaczyć, jeżeli się mylę, lecz pani tak jest podobna do pewnej osoby, którą znałam....

Dama ta popatrzyła na nią zimno i odpowiedziała uprzejmie:

— Widocznie jest to jakaś pomyłka, gdyż nie miałam jeszcze przyjemności widzieć pani.

— Przepraszam jeszcze, czy pani nie przypomina sobie ulicy Raynouard w Paryżu?.... Przed dziesięciu laty. Powiedziałam wtedy słowo, które mi zapewniło u pani dobre przyjęcie....

— Jakież to słowo?

— Veresno.

— Veresno? W jakim to języku? Słowo to nic mi nie mówi. Zapewne jestem do kogoś podobna tylko, nic więcej.

Mówiąc to, poruszyła się niecierpliwie, a twarz jej przybrała pewien specyalny wyraz. Po tem Joanna ją poznała: teraz była już pewną.

— Wówczas pani nazywała się Berty.

— Przepraszam, lecz ja pani wcale nie znam. Pani bezwzględność zmusza mnie do poproszenia o opuszczenie tego coupé.

Przy słowach tych podniosła się z miejsca.

— Niech pani mnie posłucha — odparła z przejęciem Joanna. — Ja tak kocham Wierę.... Pani drży! Ach ja wiedziałam, że to imię panią wzruszy. Czy ona żyje jeszcze? Gdzie się znajduje? Proszę mnie uspokoić. Już dziesięć lat jak jej szukam nadaremno....

— Ależ pani staje się natrętną — rzekła ostro garbata dama.

— Nie — zawołała żywo Joanna — panią zdradziło pani wejrzenie. Ja nie chcę nic wiedzieć, proszę tylko powiedzieć, czy Wiera żyje?

— Tak, a teraz niech mnie pani opuści. Pani mnie zgubi i siebie. Wiera żyje. Jeżeli uzna za potrzebne, to da pani znać o sobie. Niech pani nie staje w poprzek przeznaczeniu i zaraz stąd wyjdzie.

Joanna, poddając się bezwiednie temu rozkazowi, wyszła i wróciła do wagonu restauracyjnego, gdzie zajęła się dziećmi. Zaledwie zdążyła nałożyć im na talerze potrawy, gdy naraz rozległ się jeden i drugi huk. Wszyscy obecni wstrząśli się. W chwili tej wpadł blady jak trup, chwiejąc się na nogach pan Mitre i zawołał:

— Na pomoc! prędzej, na pomoc! Zamordowano księcia.

Wszyscy pobiegli do wagonu salonowego, gdzie leżał krwią zbroczony książę, a przy nim charczał z roztrzaskanym łbem pies.

Dwóch ludzi klęczało przy rannym, powtarzając bezmyślnie:

Monseigneur! Monseigneur!

Joanna zauważyła, że przedział, w którym jechała pani Berty, był pusty, drzwiczki zaś od wagonu salonowego znaleziono otwarte.

W kilkanaście minut potem wjechano na dworzec, obstawiony policyą. Każdego pasażera poddano badaniu. Naszych podróżnych, dzięki urzędowemu charakterowi Maurycego, puszczono wkrótce, tak iż po pewnym czasie mogli udać się w dalszą podróż.

Pani Berty zginęła. Telegrafowano na wszystkie strony, lecz nigdzie nie natrafiono na jej ślad.

Książę po powrocie do przytomności, opowiedział

przebieg zamachu. Zaledwie kobieta ta otworzyła drzwi wagonu, rzucił się na nią dog. Wystrzałem z rewolweru strzaskała mu czaszkę, następnie raniła ciężko księcia, z niezwykłą zwinnością otworzyła sobie drzwiczki i wyskoczyła z wagonu.

Wypadek ten jeszcze bardziej popsuł humory podróżnych. Pan Mitre zaczął znowu pluć krwią. Joanna zadowolona, że nikt nie widział, jak rozmawiała przedtem z panią Berty, zachowała w tajemnicy to spotkanie. Tak dojechali do Medyolanu, a następnie do Paryża.

V.

PRAWDA WYCHODZI NA WIERZCH.

W zamku Roche-Forte oczekiwano na państwa Le Chars. Mieli przybyć wieczornym pociągiem do Fontainebleau, dokąd posłano już po nich powóz. Przy śniadaniu pani Morailles oznajmiła, iż ma zamiar wyjechać na ich spotkanie.

— Czy to będzie roztropne?—zapytał markiz.— Jesteś i tak osłabiona, a droga jest męcząca. Doktór Morane będzie się gniewał.

Odpowiedziała z uśmiechem:

— Doktór Morane już postarzał się i we wszystkiem przesadza, wkrótce też ma ustąpić.

Pani Morailles zachowała jeszcze swój wdzięczny uśmiech, pełen dobroci, niewinne oczy i swe długie, piękne włosy, cokolwiek jednak już posiwiała. Zeszczuplała także i pobladła, cera stała się jeszcze delikatniejszą, a koło ust i powiek potworzyły się zmarszczki. Markiz natomiast nie postarzał się wcale, włosy tylko zdawały się być jakby lekko upudrowane. Był żywym, zwinnym po dawnemu.

Zwrócił się do nauczyciela swego syna — Andrzej był już wysmukłym, miłym, ośmnastoletnim młodzieńcem — ojca Remy, dystyngowanego, eleganckiego w swej czarnej sutannie jezuity, któremu po wyjeździe miss Hallam polecił wychowanie syna.

— Czy czytał ojciec w *Nowościach* ostatnie wiadomości o zamachu na księcia X.?

— Wiadomości te potwierdzają zupełnie zdanie markiza — odpowiedział swobodnie ojciec, pełen własnego dostojeństwa i uśmiechnął się z miną dyplomaty, czego bardzo nie lubiła pani Morailles.

Obecność tego wychowawcy i jego wpływ na Andrzeja były dla niej bardzo nie miłe. Chwilami zdawało się jej, że syn ją mniej kocha i przypisywała to ojcu Remy. Obawiała się także jego wzroku przenikliwego, cichego chodu, który sprawiał, iż nigdy nie mogła spodziewać się, skąd się wyłoni jego czarna postać. Na szczęście wyjeżdżał teraz na miesiąc urlopu, inaczej bowiem obecność jego psułaby przyjemność, jakiej markiza chciała zaznać z przybycia Joanny z mężem i synem.

— Tak—odpowiedział markiz zadowolony ze słuszności swego zdania — jest jasne, że morderczyni musiała mieć po drodze wspólników, którzy natychmiast po wyskoczeniu jej z wagonu pomogli jej do ukrycia się.

— To prawda, inaczej bowiem łatwo mogłaby zwrócić na siebie uwagę swem wykwintnem ubraniem, o ile nieprzebrała się po drodze.

— Bezwarunkowo miała możność ukrycia się, to znaczy, że i wspólników: dzięki im zdołała uciec.

W chwili tej wszedł służący i podał na srebrnej tacy list, z wypisanem tylko nazwiskiem markiza, bez podania bliższego adresu. Poznał pismo swej ostatniej kochanki, Maud Kiss, utrzymywanej przez niego i mieszkającej w pobliskiej willi. Pani Morailles domyśliła się także, co to za list, nie zwróciła jednak na niego żadnej uwagi, przypatrując się z okna parkowi.

Markiz czytał:

„Władco mój i panie!

Twoja Maud nudzi się wściekle, a przytem doskwiera jej migrena. Jeżeli jesteś, najdroższy, szarmanckim, a jesteś nim, przyjedź po mnie samochodem lub konno, bym się mogła trochę przewietrzyć.

Przytulam się do ciebie

Twoja roztęskniona Maud“.

Schował list do kieszeni i odezwał się:

— Pogoda jest piękna, pojadę więc na spacer konno. A ty, moja droga, odpoczniesz?

— Tak — odpowiedziała Aurora.

Pożegnał ją z elegancyą i skierował się do stajni, znajdujących się w lokalu koło parku. W pół godziny potem pan Morailles jechał konno do Fougeraie, willi zajmowanej przez Maud Kiss, dokąd poprzednio kazał przeprowadzić Dyanę, klacz anglo arabską dla swej kochanki. Przejechał przez boczną aleję Douves, zamkniętą dla ruchu i po kwadransie znajdował się już przed swą ukochaną, którą zastał w niebieskim szlafroku na balkonie.

— Ach, co za wspaniała myśl! — zawołała.— Za dwie minuty będę gotowa.

Markiz przesłał jej pocałunek i zerwał różę, którą wpiął sobie do klapy. Był dumny ze swej kochanki i poddając się urokowi jej, nie troszczył się o całą poziomość swego z nią stosunku. Maud Kiss, najzwyklejsza cyrkówka, potrafiła go utrzymać przy sobie tylko swoją młodzieńczą świeżością i łobuzerskim sprytem, zdradzającym jej pochodzenie. Już samo ich poznanie okazywało, kim ona była.



Ja nie chcę nic wiedzieć, proszę tylko powiedzieć mi, czy Wiera żyje?...

Rok temu, w chwilach nudy natrafił na zaproszenie, które mu ongi przysłała „Madame Amelia“. Jak wielu Paryżan, już nieraz w podobnych domach szukał dla siebie rozrywek; dziwił się nawet, że jeszcze tego schroniska rozpusty nie znał, bez namysłu też udał się pod wskazany adres.

Stręczycielka, dumna z takiego gościa, starała się okazać jak najdoświadczeńszą w swoim zawodzie. Miała wszelki towar, chwaliła się: panny, mężatki, demimondówki, artystki, lecz te ostatnie są najwyżej taksowane, dodała.

Roztaczając przed markizem znajomość swego fachu, podała mu album, kolekcyę, jak się wyraziła, klientek posiadanych i tylko możliwych.

Pan Morailles przeglądając album, wskazał na fotografię młodej dziewczyny w czarnych trykotach.

— O, z tą niema nic do roboty — rzekła Amelia — zbyt dobrze jest strzeżona.

— Protektor? — zapytał.

— Protektorka.

— Aż tak!

— Ciotka, matka lub przyjaciółka, jednem słowem smok, który strzeże jej cnoty.

— Doprawdy?

— Już wiele osób wysoko postawionych, mogę nawet w sekrecie nazwać je panu markizowi, starało się o nią, ofiarując wielkie sumy i nic nie mogli otrzymać.

— I nie daje do siebie przystępu? To nawet zachęca, by przypuścić szturm do tej fortecy, tak pilnie bronionej.

— Może pan markiz spróbować — odpowiedziała Amelia.

I widziano go w pierwszych rzędach „Music-Hall“, gdzie Maud Kiss występywała. Posyłał wspaniałe bukiety, za które w podziękowaniu otrzymywał uśmiechy; czułe listy, na które nie dostawał odpowiedzi i cenne biżuterye, które mu zwracano.

Pan Morailles zapalił się do gry. Zbierał wiadomości o Maud Kiss, lecz nie miała bogatego protektora, ani żadnego kochanka; mieszkała skromnie na bulwarze Sebastopolskim, razem ze swą ciotką, mistress Harden.

Zmęczony niepowodzeniem, udał się do Amalii.

— Pani miała racyę — rzekł obojętnie na pozór, nie chcąc przyznać się do porażki.

— Nie udało się?

— Najzupełniej.

— Maud Kiss?...

— ....nie chce o niczem słyszeć.

— A ja przez ten czas pracowałam dla pana.

— I jak?

— Gdy pan bez skutku zdobywał ją, ja udałam się tam, dokąd należało, układałam się z mistress Harden.

— Ach, z tym smokiem! I co pani uzyskała?

— Że przyjdzie tutaj na szklankę herbaty razem z Maud.

— Nic więcej? — zapytał zawiedziony.

— To tylko początek.

— Kiedy?

— Dzisiaj o piątej — spojrzała na zegarek — za kwadrans powinna już tutaj być.

— Dobrze, przestrzegam tylko, iż mogę przyjąć wszelkie żądania, ale nie dopuszczę, by mnie brano za młokosa. Maud Kiss nie jest dzieckiem.

— To prawda.

— Ciotka, matka, czy też smok, nie wiem, czem ona jest ta mistress Harden, nie uważa mnie chyba za zdziecinniałego starca, którego można łudzić tą niby nienaruszoną cnotą małej Maud.

— Nie sądzę, by miała takie myśli. Czegóż więc chce?

— Zapewnić Maud przyszłość poważną.

— Dobrą rentę?

— Otóż to.

W chwili tej rozległ się głos dzwonka i pokojówka wprowadziła mistress Harden, wysoką, jeszcze piękną kobietę, ubraną w elegancki kostyum. Była sama.

— A Maud? zawołała Amelia.

— Nie mogła przyjść, jest cierpiąca, choć nic poważnego.

— Ach, przepraszam — zawołała Amelja — pani nie zna markiza Morailles—i przedstawiła go.

— O, — rzekła mistress Harden — znam bardzo dobrze markiza.... Przynajmniej wiele o nim słyszałam.

Mówiąc to, podniosła woalkę i okazała twarz jeszcze piękną o czarnych, błyszczących oczach, która nie była zupełnie obcą markizowi, nie mógł jednak przypomnieć sobie, gdzie ją widział.

Po podaniu herbaty, Amelia pod jakimś pozorem usunęła się do drugiego pokoju.

— Pan — zaczęła odrazu interes mistress Harden — stara się o Maud?

— Cóż robić...

— Pańska uprzejmość, kwiaty, listy, brylanty mówią jasno...

— Tak jest; dla miss Maud żywię gorące uczucie, tylko na nieszczęście nie mogłem zdobyć sobie wzajemności.

— Maud jest bardzo młoda i winna być roztropną; ona ufa tylko mnie jednej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Niebezpieczny konkurent.

W tych czasach, po takiem upokorzeniu, a posiadając podobnego synalka, jak ks. Jerzy, być królem Serbii — to wcale niegodne zazdrości stanowi-



Niebezpieczny konkurent: Książę Arsen Karageorgiewicz.

sko. Do tego jeszcze dodać trzeba, że niefortunny król Piotr posiada, oprócz starszego syna, jeszcze drugiego niebezpiecznego konkurenta do tronu, jaki obecnie zajmuje. Tym konkurentem jest jego brat młodszy, ks. Arsen Karageorgiewicz, który obecnie pozostaje w służbie rosyjskiej, jako dowódca I-go pułku kozaków zabajkalskich.

Książę ten przybył do Serbii, gdy zanosiło się na wojnę z Austro-Węgrami i podobno dawał chętnie posłuch tym zwolennikom z pomiędzy korpusu oficerskiego, którzy pragnęliby go osadzić zamiast króla Piotra na tronie serbskim.

Wprawdzie w tej chwili przycichły pogłoski o abdykacyi króla Piotra, względnie o gwałtownem usunięciu go z kraju wraz z obu synami i córką, księżniczką Heleną, to jednak jest pewnem, że w swym bracie ma on niebezpiecznego konkurenta. Serbom sprzykrzyły się już wieczne awantury i skandale w konaku belgradzkim tak dobrze za panowania króla Milana, jak Aleksandra lub Piotra, chętnie tedy oglądaliby tam kogo innego.

Książę Arsen, który był ożeniony z księżniczką Demidow, ma syna Pawła, liczącego obecnie 16 rok życia.



Niebezpieczny konkurent: Książę Paweł Karageorgiewicz.

Nowy profesor Wszechnicy Jagiellońskiej.

Katedrę teologii moralnej na krakowskiej wszechnicy, powierzono znanemu i cenionemu w szerokich kołach naszego miasta kanonikowi katedralnemu ks. drowi Janowi Mazankowi, a cesarz nadał mu tytuł zwyczajnego profesora tego przedmiotu.

Ks. dr. Jan Mazanek, od r. 1907 kanonik gremialny kapituły krakowskiej, pochodzi z Głogowa w powiecie rzeszowskim, gdzie ujrzał światło dzienne w r. 1858. Po ukończeniu gimnazyum rzeszowskiego odbył studya teologiczne w seminaryum dyecezyalnem w Przemyślu i tam też w r. 1882 otrzymał święcenia kapłańskie. Obdarzony wielkiemi zdolnościami, zwrócił młody kapłan na siebie uwagę ówczesnego wice-rektora seminaryum duchownego w Przemyślu, a obecnego księcia biskupa krakowskiego, kardynała Puzyny, który też wysłał go na dalsze studya do Rzymu. Tu na uniwersytecie Gregoryańskim po odbyciu specyalnych studyów uzyskał stopień doktora teologii i filozofii. Po powrocie do kraju został ks. Mazanek zamianowany profesorem teologii w seminaryum duchownem przemyskiem, który to urząd sprawował aż do r. 1907 t. j. aż do powołania go na kanonię krakowską. Równocześnie był także rektorem małego seminaryum wychowującego młodzież gimnazyalną i przygotowującego ją do przyszłego stanu duchownego, radcą i referentem konsystorza biskupiego. Przez długoletnią swą pracę w dyecezyi przemyskiej zyskał sobie ks. Mazanek ogólną sympatyę i szacunek tak między duchowieństwem jak i świecką publicznością. Na wiosnę w r. 1903 prowadził on pielgrzymkę polską do Rzymu celem złożenia hołdu o-

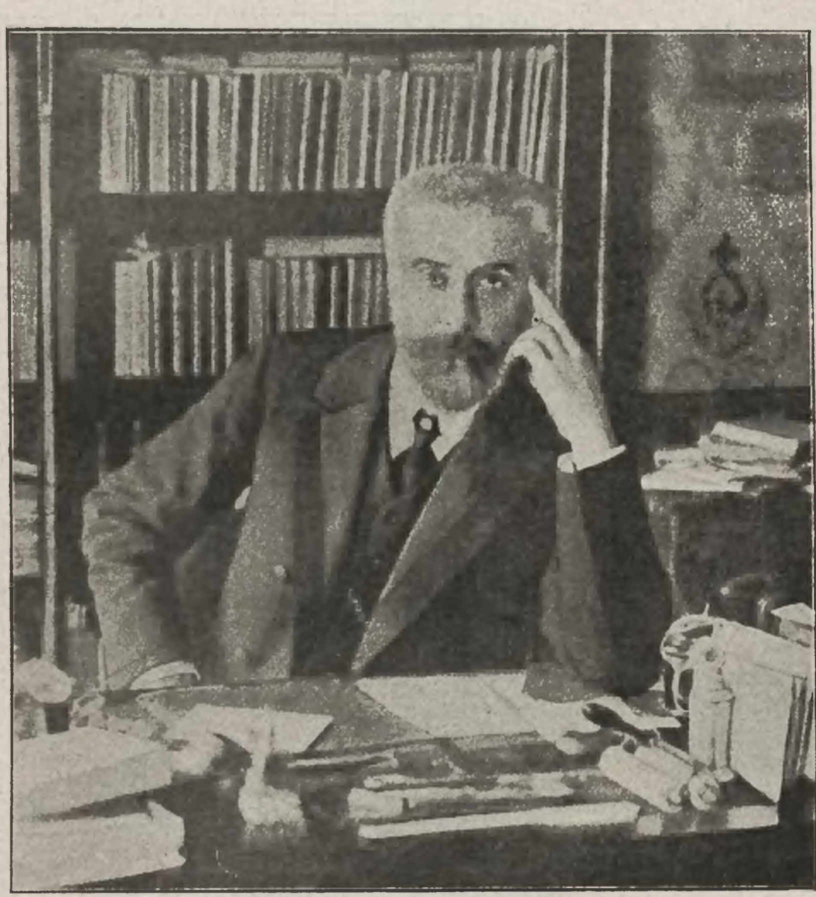


Nowy profesor Wszechnicy Jagiellońskiej: Ks. dr. Jan Mazanek profesor teologii moralnej.



Zamach anarchistyczny w Barcelonie: Ulica Bocquerin, na której rzucono przed kawiarnią bombę.

becnemu papieżowi. Dzięki zabiegom i trudom przewodnika, powiodła się ona ku ogólnemu zadowoleniu uczestników i zostawiła w ich umysłach niezatarte wrażenie. W ciągu dwuletniej działalności w Krakowie dał się ks. dr. Mazanek poznać jako



Rewolta w Turcyi: Achmed Riza-bej.

gorliwy i natchniony duchem Bożym kapłan-patryota, to też obecna nominacya, będąca dowodem uznania dla jego pracy i zasług, spotkała się z ogólnem uznaniem. W ks. drze Mazanku zyskuje Wszechnica Jagiellońska cenną siłę, a młodzież polska, sposobiąca się do stanu duchownego, gorliwego i znakomitego przewodnika.

Nowe poselstwo chińskie w Berlinie.

Innemi wprawdzie drogami, niż pokrewna Japonia, ale wytrwale zdążają Chiny do otrząśnięcia się z wiekowej pleśni i do wykorzystania zdobyczy kultury ludów rasy białej. W Japonii przewrót na polu urządzeń prawnopaństwowych, ekonomicznych i wojskowych odbył się niesłychanie szybko, bo w przeciągu lat mniej więcej dwudziestu, Chiny natomiast będą potrzebowały, aby ten sam rezultat osiągnąć, niejednego lat dziesiątka.

Z właściwą Chińczykom systematycznością zabrano się w Pekinie do dzieła odrodzenia olbrzymiego, 400 milionów mieszkańców liczącego państwa. Powysyłano mnóstwo młodzieży na studya do Japonii, Europy i Stanów Zjednoczonych, czynione są studya do konstytucyi, która ma nadana, oraz do podniesienia rodzimego przemysłu, wreszcie reorganizacya armii na wzór japońskiej, postępuje szybko naprzód. Ten ostatni punkt jest bardzo ważny, gdyż niestety dziś na świecie rozstrzyga o powodzeniu państw i narodów tylko siła, reprezentowana przez działa i bagnety.

Jako jeden z momentów ewolucyi, którą przechodzi obecnie „państwo środka“, uważać trzeba zacieśnienie jego stosunków z państwami europejskiemi, czego dotąd Chiny tak bardzo unikały. Teraz istnieją już w stolicach wszystkich prawie państw naszej części świata ambasady lub poselstwa chińskie, które są zarazem środowiskami, grupującemi koło siebie młodych Chińczyków, odbywających studya za granicą.

W niniejszym numerze podane ryciny illustrują przybycie nowego ambasadora chińskiego, oraz jego



Nowe poselstwo chińskie w Berlinie: Ambasador generał Jing-Czang.

sekretarza legacyjnego do Berlina. Ambasador, gen. Jing-Czang, otrzymał edukacyę wojskową na sposób europejski i był już dawniej *attaché* wojskowym przy ambasadzie chińskiej w stolicy Niemiec.



Osobliwa karawana: Walec parowy, sprawiony przez emira Afganistanu, ze słoniem w zaprzęgu.

Zamach anarchistyczny w Barcelonie.

Południowe kraje europejskie, a mianowicie Włochy i Hiszpania, są oddawna już siedliskiem ulubionem anarchistów, którzy stamtąd nawiązują stosunki



Nowe poselstwo chińskie w Berlinie: Berolina, córeczka sekretarza legacyjnego Wanga.

z innymi krajami i z Ameryką północną, gdzie znajduje się także jedno z centrów ich zbrodniczej agitacyi.

W samej Hiszpanii zaś, szczególniej miasto portowe Barcelona, położone nad morzem Śródziemnem, oddawna jest znane, jako jedno z głównych siedlisk anarchizmu. Nie upływa kilka miesięcy, aby nie spełniono tam jakiegoś zamachu zupełnie bezcelowego, którego ofiarą padają ludzie niewinni i który przytem sprawia znaczne szkody materyalne.

I znów kilka dni temu podrzucono w Barcelonie o godzinie wpół do jedenastej wieczorem bombę przed jedną z kawiarń przy ulicy Bocquerel. Bomba ta eskplodując, uszkodziła znacznie lokal kawiarni, w której trzech kelnerów zostało silnie poranionych.

Rycina nasza przedstawia nazajutrz rano po zamachu miejsce, gdzie go dokonano, a na którem zgromadziły się tłumy ciekawych, jak to zwykle bywa w podobnych okolicznościach. Dotąd sprawców zamachu nie ujęto.



Nowe poselstwo chińskie w Berlinie: Pani Wang, żona sekretarza legacyjnego.

Osobliwa karawana.

Obecny emir Afganistanu, Habib Ullah, jest wielkim zwolennikiem sportu automobilowego, z którym się zapoznał, odbywszy w 1907 roku podróż po Indyach wschodnich. Anglicy od dawnego czasu czynią tam duże nakłady, aby przeprowadzić sieć doskonałych dróg, które utrzymują nader starannie, a po których jeździ się bez przeszkód samochodem.

Powróciwszy do swej ojczyzny, doszedł emir do przekonania, że niedosyć jest posiadać automobil, aby módz z niego korzystać, lecz że do tego konieczne są jako tako przynajmniej utrzymane drogi. Postanowił on tedy założyć u siebie sieć dróg szosowych, a wola jego, jak każdego despotycznego władcy, musiała zostać zaraz w czyn zamienioną.

Rycina nasza przedstawia przybycie do miasta Kandaharu, stolicy Afganistanu, karawany, której osobliwą część składową stanowi parowy walec do ugniatania kamieni, ciągnięty przez słonie. Bez tego bowiem przyrządu nie mogło być mowy o budowie szos w Afganistanie.

Po tym drobnym fakcie sprowadzenia parowego walca drogowego do krainy dotąd tak dzikiej, jak Afganistan, wnioskować jednak można, że cywilizacya wciska się zwolna nawet w najwięcej zapadłe krajc. Po szosach przyjdzie tam także niezawodnie do budowy kolei żelaznych, które znajdą naturalne połączenie z siecią kolei indyjskich.



Niepewny tron: Zamordowany redaktor *Serbesti* Hassan Fehmi-bej.

Rewolta w Turcyi.

Zupełnie nagle a prawie niespodziewanie stała się Turcya widownią niesłychanie doniosłych wypadków politycznych, które dotyczą wprawdzie bezpośrednio stosunków wewnętrznych państwa ottomańskiego, mogą jednak już w najbliższej przyszłości wywołać zawikłania dyplomatyczne także wśród innych państw, a w następstwie doprowadzić do wojennej zawieruchy.

Jak już wspomnieliśmy poprzednio, rewolta wojskowa w Turcyi ma swe źródło w walce między Młodoturkami a liberałami, którzy zazdrośnie patrzyli na wzrost wpływów komitetu młodotureckiego. Zjednawszy sobie armię, opanowali liberali rządy w Turcyi, doprowadzili do gruntownej zmiany gabinetu ministeryalnego, a mając za sobą wyższe duchowieństwo mahometańskie a przedewszystkiem sułtana, postanowili zgnieść zupełnie stronnictwo młodotureckie.

Oczywista rzecz, że Młodoturcy nie chcą zrezygnować z dominującej roli w państwie, toczy się więc między tymi dwoma stronnictwami zacietka walka i przybiera coraz szersze rozmiary. Są poważne obawy, iż przyjdzie tam do wielkiej wojny domowej. Znaczna część armii bowiem, zwłaszcza w garnizonach prowincyonalnych, oświadczyła się za Młodoturkami i w sile kilkudziesięciu tysięcy ludzi ruszyła ku Konstantynopolowi, aby zgnieść nowy rząd, a przywrócić napowrót wpływy młodotureckie.

Poważna sytuacya wewnętrzna w Turcyi skłoniła mocarstwa europejskie do podjęcia pewnych kroków celem zażegnania niebezpieczeństwa, a przedewszystkiem celem zabezpieczenia życia Europejczyków, w Turcyi przebywających, którzy w razie



Rewolta w Turcyi: Zamordowany minister wojny Nazim-basza.

wojny domowej byliby w bardzo niepewnem położeniu. Prawdopodobnie wysłałyby mocarstwa w takim razie swoje okręty wojenne do Turcyi.

Interwencya mocarstw nastąpiłaby też w razie, gdyby przyszło do zaburzeń w prowincyach tureckich. A bardzo jest prawdopodobne, że ludy nietureckie, pozostające pod władzą sułtana, skorzystają z fatalnej sytuacyi wewnętrznej w Turcyi i podniosą zbrojne powstanie.

Także stosunek Bułgaryi do Turcyi daje powód do obaw, Turcya bowiem nie chce dotąd uznać niezawisłości Bułgaryi i królewskiego tytułu Ferdynanda. Obecnie rząd bułgarski zażądał uznania swej niezawisłości pod groźbą wojny.

Tymczasem wewnątrz państwa ottomańskiego wre coraz namiętniejsza, coraz zacieklejsza walka. Rząd powołany do steru zaraz po obaleniu Hilmiego-baszy, przechodzi nieustanne zmiany a stan ten potrwa prawdopodobnie dłuższy czas. Na czele gabinetu stanął nie Kiamil-basza, choć sułtan początkowo skłaniał się do powołania go na stanowisko wielkiego wezyra, lecz Tewfik-basza. Ministrem spraw zagranicznych został Rifaat-basza, oświadczając jednak, iż ustąpi w najbliższym czasie, zaraz po załatwieniu konfliktu z Bułgaryą. Tekę ministra wojny po zamordowanym w czasie rewolucyi Nazim-baszy, objął popularny w Turcyi całej Edhem-basza. Inni ministrowie zmieniają się nieustannie.

Jednem słowem stosunki wewnętrzne w Turcyi przedstawiają obraz ostatecznego rozkładu.



Niepewny tron: Mehamed Reszad Effendi.

Niepewny tron.

Rewolta wojskowa w Turcyi, która wybuchła przed kilkunastu dniami, w odpowiedzi niejako na zamordowanie redaktora pisma *Serbesti*, Hassana



Rewolta w Turcyi: Nowy wielki wezyr Tewfik-basza.

Fehmi-beja, ofiary nienawiści ze strony Młodoturków, rewolta ta zwróciła się obecnie przeciw tym, którzy ją zainicyowali i protegowali.

Były wielki wezyr Kiamil-basza, który zdaje się był reżyserem rewolucyi, nie dopiął swego celu, jakim było ponowne opanowanie steru rządów. Wielki wezyrat dostał się Tewfikowi-baszy. Ale i jego rządy niezbyt są pewne, o ile bowiem zgnieceni chwilowo Młodoturcy odniosą zwycięstwo i odzyskają napowrót wpływy, wtedy dni gabinetu Tewfika-baszy będą policzone.

Nietylko jednak ministrowie są niepewni swych stanowisk. Także tron sułtana Abdul-Hamida poważnie się chwieje. Sułtan bowiem należy też do przeciwników komitetu młodotureckiego i był niewątpliwie wtajemniczony w zamysły reakcyi, której udzielał materyalnego i moralnego poparcia. Nic dziwnego tedy, że nienawiść Młodoturków zwraca się i przeciw sułtanowi.

Natomiast otaczają oni względami i sympatyą młodszego brata sułtana, Mohameda Reszad-Effendi, właściwego i prawowitego następcę tronu.

Mohamed Reszad żył przez szereg lat w zapomnieniu, gdyż sułtan chciał tron zostawić swemu synowi. Dopiero gdy Młodoturcy po nadaniu konstytucyi zajęli decydujące w państwie ottomańskim stanowisko, pogodził się sułtan z bratem i przywrócił go do łask.

Obecnie zamierzają Młodoturcy zdetronizować wiarołomnego Abdul-Hamida a na jego miejsce powołać na tron Mohameda Reszada.

Wogóle nietylko tron ale i życie obecnego sułtana jest poważnie zagrożone. Spiski przeciw obecnemu monarsze są bardzo częste a choć zamachy wszystkie udaremniano dotąd, może się jeden z nich udać i będzie „kęsim“.



Rewolta w Turcyi: Edhem-basza, nowy minister wojny.

Niebezpieczeństwo jest tem większe, że armia młodoturecka zbliża się w szybkim tempie do Konstantynopola, grożąc stolicy cesarstwa.

Armia ta zaś sprzyja całem sercem Młodoturkom i ich kandydatowi do tronu tureckiego, Mohamedowi Reszadowi.

Chytry i sprytny Abdul Hamid jest więc obecnie w poważnem niebezpieczeństwie. Igrał z ogniem, gromadzącym się w granicach swego państwa, bardzo długo. Aby zachwiane interesy swoje poprawić, zgodził się pozornie na konstytucyę, ale jako despota z przekonań, a nadto uległy wpływom reakcyjnej kamarylli dworskiej, postanowił następnie skorzystać z pierwszej sposobności, by konstytucyi złamać kark a wrócić do absolutyzmu. Czy mu to wyjdzie na zdrowie, jest bardzo wątpliwe, ale się wkrótce rozstrzygnie.

Nowy komendant w Zadarze.

W Austro-Węgrzech istnieje, jak wiadomo, piętnaście komend korpuśnych i t. zw. komenda wojskowa w Zadarze, która terytoryalnie obejmuje Dalmacyę. Okręg ten jest wprawdzie znacznie mniejszy, niż inne okręgi korpuśne, ze względu jednak na swe położenie geograficzne, posiada duże strategiczne znaczenie. Dlatego też na komendantów w Zadarze, stolicy Dalmacyi, wybierani bywają generałowie, dający pod każdym względem moralną gwarancyę, że dorośli do tego wielce trudnego i odpowiedzialnego stanowiska, którego ważność zwiększyła się jeszcze z powodu obecnej sytuacyi politycznej na południu monarchii.

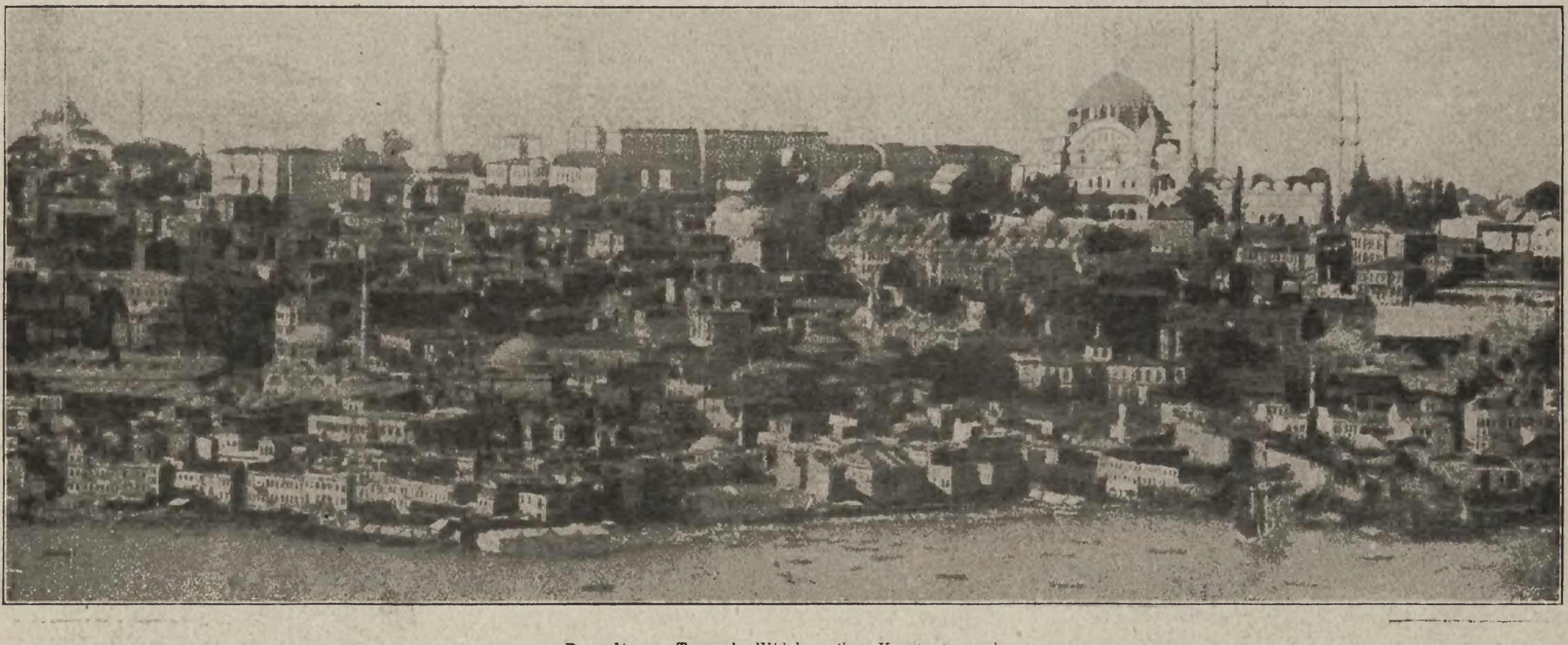
W ubiegłym tygodniu powołanym został na komendanta do Zadaru marszałek polny porucznik Karol Fanta, którego portret podajemy w niniejszym numerze. Jest on następcą generała piechoty Vareszanina, który został szefem rządu krajowego i generałem komenderującym w Serajewie.

Marszałek polny porucznik Fanta dotąd był dowódcą 34 dywizyi piechoty w Temeszwarze i uchodzi za bardzo tęgiego i sprężystego dwódzcę. Jest



Nowy komendant w Zadarze: Marszałek polny porucznik Karol Fanta.

on, jak na generała w tym stopniu, stosunkowo młodym, bo liczy lat 54, rozpoczął zaś służbę wojskową, jako porucznik w dawnym 1-ym pułku inżynieryi, poczem został przeniesiony do sztabu generalnego. Jakiś czas był przydzielony do dyrekcyi inżynieryi w Krakowie.



Rewolta w Turcyi: Widok ogólny Konstantynopola.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

4 **Romans psychiczny.** Ciąg dalszy.

— Gdzie pan był wczoraj i przedwczoraj? Oczekiwałam pana całą noc.

— Musiałem zrobić analizę bardzo pilną i trudną. Nad nią spędziłem dnie i noce od ostatniego naszego widzenia.

— Nie spał więc pan tyle czasu? — rzekła z współczuciem postać.

— Zato śpię teraz.

— Ciągle ta sama myśl! Chciałabym, by mi pan wytłomaczył, jak to się dzieje, że widzę swe ciało uśpione i jednocześnie siebie obudzoną?

— Bardzo łatwo mogę to uskutecznić! Śnię, że panią widzę, słyszę, że z panią rozmawiam i spostrzegam pani ciało, lecz te wrażenia są tylko płodem mej imaginacyi.

Postać wzruszyła ramionami.

— Czy nic pan nie znalazł na zegarze?

— Owszem. Przeczytałem kartkę, napisaną przez panią, że pani oczekiwała mnie przez dwa dni, że pojechała do sąsiadów i wróci koło jedenastej. Podpisała się pani: Łucya.

— To jest moje imię.

— Wiem o tem! Słyszałem raz, jak matka pani tak nazwała panią.

— Jak więc pan może sądzić, że my śnimy, kiedy pan przeczytał moje słowa. Jestem zupełnie pewna, że napisałam je przed wyjazdem. Pan przeczytał je i powtórzył mi, com napisała. Jest to dla mnie ważny dowód.

— Ależ nie! Jeżeli pani śni, jest to zupełnie naturalne, że ja wiem to, co pani wie, ponieważ według mojej hypotezy jestem tylko wytworem pani wyobraźni.

— Wspaniale pan mówi! — zawołała postać, śmiejąc się serdecznie. — Więc pan sam uważa się za fantasmagoryę. Jest to najwyższy tryumf logiki!

Zacząłem i ja śmiać się.

— Niechże więc moja iluzya usiądzie i opowie o swych pracach chemicznych. Co pan miał tak ważnego do roboty, iż zaniedbał pan swojej wizyty.

— Czy pani żałowała mej nieobecności?

— Żałowałam! Zaczynam przyzwyczajać się do pańskich odwiedzin; brak mi ich było przez te dwie noce. Lecz niechże pan opowie, co tak pilnego miał do roboty?

Zawahałem się, doktorze, powierzyć postaci sekret analizy, którą tak prędko musiałem skończyć; zależne są od niej bardzo ważne sprawy i moja niedyskrecya mogłaby pociągnąć za sobą przykre skutki. Wahanie moje wydało mi się jednak śmiesznem, przecież tylko moja wyobraźnia stworzyła tę postać. Powiedzieć jej mój sekret znaczy to samo, co powiedzieć sobie, mimo to przemówiłem do niej niezwykłym tonem.

— Pani żąda odemnie sekretu. By go wyjawić, muszę być pewien, że w pani mam duszę pewną, oddaną, wierną, gdyż w rękach swych będzie pani miała mój honor.

Zdziwiłem się sam swej powadze, z jaką wymawiałem te słowa; wywarły one na postaci silne wrażenie.

— Ja będę tą przyjaciółką — odrzekła.

— A czy wie pani, do czego to panią zobowiązuje? Czy jest pani gotowa do wypełnienia tej roli przyjaciółki, powiernicy mych nadziei i zawodów? Życie nie jest słodkiem dla mnie; szczęście nie złociło mej młodości. Będę miał do podzielenia z panią więcej trosk, niż radości.

Zastanowiła się na chwilę z głową opartą na rękach.

— Zgadzam się — rzekła i wyciągnęła do mnie rękę. Schwyciłem ją i uścisnąłem silnie, potem podniosłem oczy na nią i wzrok nasz skrzyżował się; byłem bardzo wzruszony i miałem wrażenie, że zamienione słowa są doniosłe, że wywrą na me życie wpływ decydujący.

Rzekłem jej wtedy, nie wypuszczając jej ręki, że miałem powierzoną sobie trudną i długą analizę, odnoszącą się do wyrabiania pewnego przetworu za niską cenę. Towarzystwo, które miało kupić ten sekret, nie chciało zobowiązywać się do niczego przed stwierdzeniem, że przetwór nowy będzie identyczny ze starym. Czasu na to było tylko trzy dni, gdyż wynalazcę chciało pozyskać konkurencyjne towarzystwo angielskie. Profesor Durieux był proszony o zrobienie koniecznej analizy, sam jednak nie mógł się tego podjąć i polecił tę pracę mnie. Uskuteczniłem ją dzięki małemu odkryciu, jakiego sam dokonałem: pozwala ono dokonać w przeciągu doby analizę, na którą trzeba zwykle zużyć kilka dni. Za pracę swą nad powierzoną analizą zostałem hojnie nagrodzony.

Podałem postaci szczegóły: analiza odkryła mi tajemnicę nowego wyrobu, ale poznałem ją dzięki tylko swemu sposobowi analizowania. Wyłożyłem w raporcie ten sposób, dodając, iż ogłoszenie jego może przyczynić się do odkrycia tajemnicy nowego wynalazku; z tego więc powodu nie opublikuję go, a ograniczę się tylko do wysłania pod pieczęcią do Akademii Nauk.

— Jest to bardzo szlachetny uczynek z pańskiej strony — rzekła mi postać, ściskając silniej za rękę.

— Trudno! Nie mogłem przecież zdradzić zaufania: gdybym ogłosił swój sposób analizowania, każdy chemik z jego pomocą poznałby tajemnicę nowego wyrobu, za którą towarzystwo zapłaci wielkie sumy.

— A więc, moja iluzyo, mogłaś zyskać wiele pieniędzy, jeżelibyś sprzedała swój sposób, lub choćbyś straszyła tem i mimo swej biedy nie uczyniłaś tego?

— Jakże mógłbym to uczynić!

— Cieszę się z tego bardzo! — rzekła postać, ponawiając swój uścisk.

— Ja już pani powiedziałem, kim jestem — odezwałem się po krótkiem milczeniu — lecz pani nie okazała mi tego zaufania. Pani posiada wszystkie moje tajemnice, nawet te, których nie wyjawiłbym, gdyby pani nie była mi droższą od samego siebie. Nie żądam pani sekretów, chciałbym jednak wiedzieć, kto pani jest?

— Ja? Ja jestem Łucya Franchard, mam lat dwadzieścia dwa: ojciec mój jest byłym prezydentem trybunału; podał się na emeryturę, gdy masoni przyszli do władzy. Mieszkamy w tej posiadłości: jeden miesiąc przebywamy w Paryżu i jeden w Bordeaux, a także przez miesiąc bawimy nad morzem. Od września do maja nie wyjeżdżamy prawie wcale z Balizac.

— To nazwa tego majątku?

— Tak. Życie moje jest bardzo ciche i monotonne. Przy mnie bawi jeszcze moja dawna nauczycielka, która nauczyła mnie trochę niemieckiego i angielskiego, babrać na porcelanie i grać trochę na fortepianie. Dnie swoje spędzam razem z nią; pragnę wiedzieć tyle, co i ona.

— Czy jest bardzo uczoną?

— Bardzo inteligentną i dobrą. Jest to moja powiernica.

— Opowiedziała jej pani o snach?

— Nie. Okazuje ona skłonności do mistycyzmu, nie chciałam więc wyjawiać jej faktów, którym przypisywałaby zbyt wielkie znaczenie. Rodzice zaś z takim śmiechem przyjęli moje zwierzenie, że już teraz milczę.

— Ach, gdybym ja nie śnił tylko! — rzekłem po chwilowem milczeniu — lecz jak się upewnić? Pani mi mówi, że mieszka w zamku Balizac? Jaki jest pani dokładny adres?

— Łucya Franchard, w zamku Balizac, poczta Balizac.

— Mój zwykły adres: Antoni Leyre, kierownik laboratoryum chemicznego w uniwersytecie, Bordeaux.

— Poco pan się pyta o adres? — zapytała postać.

— Pragnę uczynić pewne doświadczenie. Czy zechce mi pani pomódz?

— Niech mi pan powie naprzód, co chcesz uczynić?

— Napiszę do pani, że znalazłem różaniec i chcę go odesłać, jeżeli pani go zgubiła. Niech pani zażąda, bym go zwrócił i doda kilka słów, odnoszących się do zwierzeń, jakie pani poczyniłem.

— Dobrze, zrobię to.

Byłem jeszcze przy postaci, rozmawiając z nią, gdy doznałem znowu wrażenia, że coś mnie odciąga i obudziłem się.

— Czy wysłał pan ten list? — zapytałem żywo pana Leyre.

— Nie; chciałem to uczynić, lecz wstyd mi.

— Trzeba zaraz go napisać.

Podałem swemu pacyentowi papier i on napisał następujący list:

„Szanowna Pani!

Dwudziestego ósmego listopada znalazłem koralowy różaniec na plaży na przylądku Ferret. Zapewniano mnie, że należy do pani. Jeżeli tak jest w istocie, proszę mnie powiadomić, a zaraz go wyślę“.

Chciał podpisać, lecz powstrzymałem go za rękę.

— Jeżeli pan chce, by doświadczenie było ściśle, niech pan nie podaje ani swego nazwiska, ani adresu: nikt nie będzie wiedział o wysłaniu tego listu; jeżeli pan otrzyma odpowiedź, będzie to niezbity dowód...

— Pan więc sądzi, że to nie jest sen? — rzekł Leyre drżącym głosem.

— Nic jeszcze nie wiem. Czekajmy na dalszy ciąg.

Zadzwoniłem na służącego i kazałem wysłać zaraz ten list. Młody mój uczony patrzył na mnie jakby z osłupieniem.

— Pan nie śmiałby wysłać tego listu, gdybym go panu pozostawił. Miałby pan nowe wątpliwości, wahania, skrupuły i nie zdecydowałby się pan.

— Może to i prawda! — odpowiedział Leyre, żegnając się.

— Odpowiedź dostanie pan pojutrze. Czy można pana prosić o zawiadomienie mnie.

— Och, bezwarunkowo — odparł młody chemik.

Po dwóch dniach zjawił się u mnie o drugiej godzinie. Przerwałem konsultacyę i przyjąłem go w bocznym pokoju. Nie mówiąc ani słowa, podał mi kopertę ze stemplem, Balizac. Na odwrotnej stronie był odbity monogram złoty Ł. F.

Papier wewnątrz oznaczony był temi samemi literami; przeczytałem następujące słowa:

„Łucya Franchard dziękuje panu Antoniemu Leyre za informacyę. Różaniec koralowy zgubiła istotnie dwudziestego siódmego listopada na przylądku Ferret. Ośmiela się zarazem złożyć pozdrowienia panu Leyre, którego *prace* i *bezinteresowność* poznała: spodziewa się, iż nie zawsze będzie posyłał do Akademii Nauk *opieczętowane paczki*“.

Ręka jego drżała, gdym mu oddawał ten cenny dowód. Spostrzegłem, iż jego wzruszenie jest tak silne, iż nie może wymówić ani jednego słowa.

— Nie można tem się przejmować — rzekłem, uderzając go po koleżeńsku po ramieniu. — Od życia należy się spodziewać tylko rzeczywistości: nie można liczyć tylko na przyszłość. Czy sen ten powtarza się?

— Tak. Rozmawialiśmy o projektach na przyszłość: postać ta jest ciągle bardzo czuła dla mnie, lecz zdaje mi się, że unika rozmowy o sobie. Dowiedziałem się, że otrzymała mój list i odpowiedziała na niego. Mam teraz pewność, że to nie sen: moja nieznajoma istnieje w rzeczywistości i chcę ją widzieć na jawie. Jutro pojadę do Balizac. O dziewiątej godzinie ma być na mszy i ja na niej będę. Muszę jednak opuścić pana, gdyż jestem zajęty.

— Do widzenia — rzekłem serdecznie. — Niech Bóg ma pana w opiece.

Następnego dnia była właśnie niedziela. Siedziałem zajęty nad pracą, którą mam wkrótce wydać, gdy wszedł pan Leyre. Twarz miał bladą: w oczach jego widniała straszna rozpacz.

— Wychodzi za mąż! — były pierwsze jego słowa.

Nie odpowiedziałem: posadziłem go w fotelu koło siebie i wziąłem po przyjacielsku za ręce. Siedział nieruchomy, z rękami załamanemi, z twarzą zmarszczoną, z oczami utkwionemi w płomień na kominku.

Wolałbym widzieć w nim rozpacz nie tak milczącą, bałem się, wiem bowiem, jak wielką ulgę sprowadzają cierpiącym łzy i krzyk. Ci, którzy za chowują ponure milczenie, pozostają nieruchomi, skłonni są do największych czynów rozpaczy. Odgadłem tok myśli pana Leyre i rzekłem mu:

— Ma pan matkę.

Trafiłem dobrze. Spojrzał na mnie i odrzekł:

— Słusznie pan mówi. Mnie jednego tylko posiada.

Nie dodałem już nic, lecz zapaliłem papierosa i przyglądałem się młodemu człowiekowi, którego serce tak cierpiało. Przez dłuższą chwilę pozostawaliśmy w milczeniu, gdy zapukano do drzwi i służący podał mi depeszę. Była ona od mego kolegi:

„Oczekuję pociągiem o piątej godzinie w Langon. Spać będziemy w zamku Balizac, wezwanie w nagłym wypadku“.

Był to dziwny zbieg okoliczności. Cóż miałem uczynić?

— Wzywają mnie w ważnej sprawie — rzekłem panu Leyre. — Niech pan tu pozostanie, jak długo zechce. Proszę teraz na mnie spojrzeć.

Gdy młody pacyent podniósł na mnie swe czarne oczy, odezwałem się:

— W chwili największej rozpaczy wypadki układają się najpomyślniej. Niech pan nie traci nadziei; muszę teraz pana opuścić; niech pan nic nie czyni przed moim powrotem.

I pojechałem.

Na dworcu w Langon oczekiwał mnie doktór Dussiron; samochód, ozdobiony monogramem z dwóch F. i baronowską koroną, powiózł nas do zamku w Balizac.

II.

Doktór Dussiron, silny starzec, sceptyczny, dowcipny i doskonały lekarz, cieszył się w całej okolicy dobrze zasłużoną sławą; wszyscy go znali; spotykano go na drogach wioskowych, jak jeździł małym powozikiem, zaprzężonym w jednego konia i każdy witał z uśmiechem tę postać jowialną o żywych oczach i siwych wąsach.

— Jak się masz, mój drogi — rzekł mi, ściskając silnie rękę. — Telegrafowałem do ciebie, by poddać twej dyagnozie niezwykły wypadek, należący do twej specyalności.

— Cóż to takiego? Musi to być w istocie coś ciekawego, kiedy ty, co się niczemu nie dziwisz, nazywasz niezwykłem.

— A mimo to jestem tutaj, jak zagwożdżona armata — odrzekł, siadając ze mną do samochodu. — Całą historyę przedstawię ci zaraz. Wiozę cię teraz do zamku Balizac, do barona Francharda, emerytowanego prezydenta trybunału. Należy on do starego rodu i posiada dość znaczny majątek. Trzy czwarte roku przebywa w zamku razem z żoną i córką. Pani Franchard nie przedstawia nic ciekawego; bardzo dobra matka, lecz i bardzo ograniczona umysłowo, więcej ma serca, niż rozumu. Córka jest piękną i ona właśnie jest chorą osobą w zamku, do której jedziesz. Kocham to dziecko, przy urodzeniu którego byłem i boję się, by to stare bydlę Franchard, nie chciał jej zrobić jakiej przykrości. Ma ona wkrótce wyjść za mąż. Zaręczona jest z jednym sąsiadów, Delille, młodym i zamożnym, wychowaniem którego kierowali ojcowie Jezuici. Przedstawia on dla starego Francharda ideał zięcia. Ojciec Furster, stary Jezuita, wykombinował to małżeństwo. Chcą Delille'a zrobić posłem, lecz jest to zły wybór. Ale ciebie te szczegóły nie interesują. Jednem słowem Łucya za ośm dni ma zostać panią Delille.

— Łucya — rzekłem — to znaczy panna Franchard, chora?

— Tak. Nie stawiała ona dotychczas żadnego oporu i zdawała się zgadzać, gdy nagle dzisiaj rano po powrocie z kościoła oznajmiła ojcu, że chce wstąpić do klasztoru. Stary Franchard osłupiał. Nigdy Łucya nie zdradzała podobnej chęci. Zaczął ją przekonywać, tłomaczyć, wreszcie odrzekł, iż nie cofnie danego słowa. Zażądał od niej wyjaśnień i wtedy zaczęła opowiadać jakieś fantastyczne historye, że przyjmuje we śnie młodego człowieka, że on istnieje i że go widziała dzisiaj na mszy; koralowy różaniec gra w tem wszystkiem jakąś niezrozumiałą dla mnie rolę. Łucya utrzymuje, że ten młodzieniec jest jej narzeczonym, wybranym dla niej przez Matkę Boską, jeżeli więc jego nie poślubi, to wstąpi do klasztoru. Stary jednak odpowiedział, że rodzice najlepiej wiedzą, co potrzeba ich dzieciom i że nie wierzy, by Matce Boskiej zachciało się być swatką dla niej. Nastąpiły spazmy, atak nerwowy i posłano po mnie. Znalazłem Łucyę w deliryum z gorączką czterdziestu stopni. Zatelegrafowałem zaraz do ciebie, gdyż mało się znam na nerwach, a boję się o tę małą.

Słuchałem opowiadania Dussirona z największą uwagą. Szczęśliwym trafem trzymałem w ręku oba końce tajemniczej nici, która łączyła pana Leyre z Łucyą Franchard. Nie wyznałem tego koledze, a ograniczyłem się tylko do kilku zapytań. Dowiedziałem się, że chora była zawsze bardzo wrażliwą, uczuciową, lecz nigdy nie miała ataków nerwowych.

Wkrótce dojechaliśmy do zamku, który poznałem zaraz z opisu pana Leyre. Pan Franchard wyszedł na nasze spotkanie. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, gdym go ujrzał. „Baron“ Franchard był średniego wzrostu i dość otyły; włosy nosił krótko ostrzyżone, wąsy zgolone, z boków zaś twarzy zwieszały mu się krótkie faworyty. Zaciśnięte usta, kwadratowy podbródek, zdradzały w nim upór, wzrok zaś bez wyrazu, nie okazywał inteligencyi. Przyjął mnie w sposób solenny, lecz uprzejmy.

— Witam pana, panie doktorze, pod swym dachem — rzekł mi, podając rękę. — Żałuję bardzo, że w tak smutnych okolicznościach mam zaszczyt pana poznać. Proszę wstąpić do mieszkania.

Odpowiedziałem krótko i wszedłem do hali, znanej już mi z opowiadania pana Leyre. Stąd przeszliśmy do gabinetu, gdzie po zajęciu miejsca, gospodarz domu zwrócił się do mnie.

— Doktór Dussiron zapewne powiadomił pana o powodach, które nas zmusiły odwołać się do pańskiej wiedzy. Córka moja wpadła w gorączkę i deliryum. Mój przyjaciel, pan Dussiron uznał, że pańska obecność jest konieczna w tym wypadku. Przepraszam bardzo za utrudzenie, na jakie pana naraziłem.

— Spełniam tylko swój zawodowy obowiązek — odpowiedziałem. — Proszę poinformować mnie, wśród jakich wypadków okazała się choroba pańskiej córki.

— Córka moja udała się rano razem z nami na mszę. Była w doskonałym humorze, w kwitnącym



Młoda panna leżała z twarzą zaczerwienioną i błyszczącemi oczyma.

stanie zdrowia. Po mszy zatrzymałem się na kilka chwil przed kościołem, rozmawiając ze znajomymi. Gdym wrócił do żony i córki, które siedziały już w landzie, zauważyłem w córce wielką zmianę. Była milcząca i czemś przejęta, nie odzywała się wcale i dopiero po powrocie do zamku poprosiła o chwilę rozmowy.

By przedstawić panu doktorowi dokładnie całą treść rzeczy, muszę wspomnieć i o jednym postronnym fakcie. Córka moja zaręczona jest z naszym sąsiadem, panem Delille, młodym człowiekiem z doskonałej rodziny, siostrzeńcem pana hrabiego Delille, który był kanclerzem za panowania Ludwika Filipa. Stosunki dawnej przyjaźni łączą obie nasze rodziny. Córka nie stawiała żadnych zarzutów panu Delille, który zdawał się jej podobać. Zdziwiłem się też bardzo, gdy dzisiaj rzuciła mi się na szyję i prosiła o odłożenie ślubu; chciała jeszcze namyśleć się, uznawała się za zbyt młodą, niedoświadczoną, by zobowiązywać się stanowczo. Odparłem, jak to było moim obowiązkiem, że skrupuły jej są spóźnione, że nie można cofać danego słowa i że wybór, jaki już raz zrobiła, jest jak najlepszy.

Córka jednak ku coraz większemu memu zdumieniu nalegała. Zapytałem ją o pobudki tego postanowienia i dowiedziałem się, że Matka Boska nie chce, by poślubiła pana Delille, że sama jej wybrała narzeczonego. Sądziłem, że dostała pomieszania zmysłów; tłomaczyłem, że Matka Boska nie zajmuje się takiemi rzeczami, lecz nakazuje dzieciom słuchać rodziców. Rozpacz córki stała się wielką...

Opowiadanie barona przerwało wejście jego małżonki, kobiety w wieku między czterdziestym piątym, a pięćdziesiątym rokiem, której regularne rysy nosiły jeszcze znamiona znikającej piękności. Po prezentacyi zasiedliśmy znowu w fotelach i pan domu mówił dalej:

— Podniecenie córki wydało mi się niewytłomaczonem. Zwróciłem się do niej, by mi wytłomaczyła bliżej motywy swego postępowania i wtedy wyznała mi, że co nocy widuje we śnie pewnego młodego człowieka, którego wymieniła nazwisko, że ceni go bardzo, gdyż zasługuje on na wszelkie pochwały, że z początku nie zwracała uwagi wielkiej na ten sen, nie sądziła bowiem, by ten młody człowiek istniał rzeczywiście, teraz jednak przekonała się, iż tak jest w istocie, gdyż naznaczyła mu we śnie spotkanie w kościele i widziała go dzisiaj na mszy; według niej jest w tem wola Matki Boskiej.

Odpowiedziałem, że to mógł być tylko zbieg okoliczności i że nie można kierować się w życiu snami. Może mówiłem to zbyt surowo i z wielkiem niezadowoleniem, lecz córka powstała, nie mówiąc ani słowa i po postąpieniu kilku kroków padła zemdlona. Obecnie w deliryum zwraca się w jakichś niezrozumiałych słowach do Matki Boskiej, wspomina o różańcu, panu Leyre i jego nocnych wizytach.

— Chodźmy zobaczyć chorą — odezwałem się — gdy to długie opowiadanie zostało skończone.

Poprowadziła nas pani Franchard. Młoda panna leżała z twarzą zaczerwienioną i błyszczącemi oczami; majaczyła. Przedstawiała objawy deliryum mistycznego.

— Przebaczenia, Najświętsza Matko Boża, przebaczenia! — mówiła co chwila. Bacznie przyglądałem się chorej. W urywanych słowach przepraszała Matkę Boską za nieposłuszeństwo Jej woli, zwracała się do pana Leyre, jakby go kochała i zmuszoną była porzucić go. Brak objawów konwulsyjnych uspokoił mnie, lecz niezupełnie.

Przy szczegółowem badaniu chorej, nie zauważyłem żadnej zmiany organicznej. Postanowiłem nie dawać żadnych środków, lecz przeczekać jeszcze dzisiejszą noc. Powodów, które mnie do tego skłoniły, nie wyjawiłem doktorowi Dussiron. Przy konsultacyi z nim wspomniałem tylko o histeryi, że tego rodzaju napięcia psychiczne leczą się same przez się, że będę czuwał przez noc, lecz spodziewam się na rano polepszenia.

Zaledwie skończyliśmy swą konferencyę, gdy zadzwoniono na obiad, na który został zaproszony i miejscowy proboszcz, ks. Jauga. Był to wysoki, sześćdziesięcioletni mężczyzna, nadzwyczaj chudy; jego postać ascetyczna, przenikliwy wzrok, głowa prawie łysa, wskazywały na inteligencyę i pracę umysłową.

Uczułem sympatyę dla tego księdza. Po uściśnięciu ręki barona podszedł do mnie i zapytał poprostu, czy ja jestem doktór Heurhault. Na moją odpowiedź twierdzącą wyraził radość z poznania mnie; czytał moje książki o przejawach mistycznych i chciał zacząć zaraz rozmowę na ten temat. Baron Franchard, który nie troszczył się o mistycyzm, zaczął opowiadać mi o wybitnych osobistościach swej rodziny i pokazywać ich portrety, gdy wygalonowany służący otworzył obie połowy drzwi i oznajmił uroczyście:

— Do stołu podano!

Baron prosił wybaczyć, że żona jego „baronowa Franchard“, jak ją nazywał, będzie nieobecną i poprowadził do sali jadalnej. Za nami przybył zaraz i doktór Dussiron, który zawsze się spóźnia.

— Jak się proboszcz miewa? — rzekł poufale do księdza. — A oto jest i Heurhault, z którym może się ksiądz nagadać. Heurhault czytał Ruysbroecka, Taulera, świętą Teresę, świętą Maryę d'Agreda...

— Ona nie jest kanonizowana, doktorze — odezwał się proboszcz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Match footballowy.

Spóźniona bardzo w tym roku wiosna, spowodowała i opóźnienie w rozpoczęciu sezonu zabaw i gier sportowych.

Dopiero w ostatnich dniach powietrze ociepliło się o tyle, że zabawy pod gołym niebem są możliwe. Skorzystała też z tego sekcya sportowa krajowego związku turystycznego i urządziła na torze wyścigowym za rogatką Wolską w Krakowie match footballowy między dwoma drużynami, a to „Wisłą“ i „Cracovią“.

Zawody odbyły się w ubiegłą niedzielę popołudniu. Z obu stron stanęło po 11 graczy. „Cracovia“ biało-czerwoni, „Wisła“ czerwoni. Publiczności przybyło dosyć sporo. Z zajęciem i zaciekawieniem przypatrywano się pięknej i wprawnej walce dwu najlepszych krakowskich drużyn footballowych.

Kierownictwo matchu spoczywało w ręku p. Radwanka. Walka trwała dwie godziny, a rezultat jej wykazał równe siły po obu stronach, gdyż obie drużyny zrobiły po jednej bramce. Obie też walczyły z równą precyzyą i zręcznością. Zdaniem fachowców, „Wisła“ posiada całość pięknie zgraną, natomiast „Cracovia“ ma w swem gronie kilku graczy, odznaczających się nadzwyczajną zręcznością w grze, a przytem śmiałością i impulzywnością. Umieją też wyzyskać odpowiednie momenty w walce ze stroną przeciwną.

Jedno z naszych zdjęć przedstawia grupę uczestników matchu, drugie interesującą chwilę walki przy jednej z bramek.



Match footballowy: Walka przy bramce „Cracovii“ (czerwonych).

Koniec karyery.

(Do illustracyi na str. 4).

Wielbiciele, a zwłaszcza wielbicielki znakomitego tenora Henryka Caruso, pełni są smutku i obawy. Oto ich ulubieniec musiał przerwać występy w Ameryce, wrócić do Włoch i tu poddać się gruntownej kuracyi swych strun głosowych.

Wedle wieści, które doszły tu o losach śpiewaka, karyera Carusa jest właściwie skończona. Wprawdzie lekarze wyrażają nadzieję, że uda się jeszcze uratować głos wielkiego śpiewaka, ale do przyrzeczeń tych nie można przywiązywać wielkiej wagi.

Wypadki takie zdarzają się śpiewakom, a zwłaszcza tenorom, bardzo często. Głos ludzki bowiem, to instrument bardzo delikatny i wrażliwy na najdrobniejsze rzeczy. Kto go nie szanuje, może być pewien, że nie długo skarbem swym cieszyć się będzie.

Widocznie Caruso, który znany był zresztą z ekstrawagancyi na rozmaitych polach, zgrzeszył pod tym względem i za grzechy te ciężko odpokutuje. Niemniej szkoda tego głosu, przedziwnie pięknego, choć nam przeważnie znanego tylko... z płyt gramofonowych.

Nauczycielski kurs sadownictwa.

Galicyjskie towarzystwo gospodarcze we Lwowie w porozumieniu z Radą szkolną krajową urządziło na wiosnę b. r. w Sanoku trzydniowy kurs przeszczepiania drzew dla nauczycieli z powiatów sanockiego i liskiego. W kursie tym wzięło udział 16 nauczycieli pod kierownictwem p. Władysława Lichańskiego, krajowego inspektora sadownictwa, tego samego, który zaznaczył się wybitną działalnością na stanowisku instruktora sadownictwa w powiecie limanowskim.

Całokształt wykładów obejmował naukę o zakładaniu sadów, prowadzeniu szkółek, oraz hodowli drzew owocowych, a przedewszystkiem o doborze odpowiednich odmian dla klimatu naszego i akcyę przeszczepiania drzew starszych, dzikich lub nierodzących. Rzecz to niezmiernej wagi dla podniesienia u nas sadownictwa, więc i dobrobytu naszej ludności, dziś bowiem mamy w kraju około 600 tysięcy drzew, które bezużytecznie miejsce zajmują, nie dając właścicielom żadnego zgoła pożytku. Przeszczepianie, a zarazem odmładzanie drzew odbywać się będzie w ten sposób, że tow. gosp. udziela zupełnie bezpłatnie okazów doborowych odmian, narzędzi i wszelkich innych przyborów niezbędnych do wykonania tej czynności, a będzie nawet gorliwych nauczycieli odpowiednio wynagradzało.

Z uznaniem podnieść należy, że nauczycielstwo tak chętnie oddaje swe siły każdej użytecznej dla ogółu pracy, że Rada szkolna krajowa zezwoliła na udzielanie niezbędnych urlopów w tym celu, oraz że inspektor szk. okr. w Sanoku p. Tomasz Pisarczuk przez cały czas trzydniowego kursu nieprzerwanie w nim brał udział, dając dowód, że sprawa ta rzeczywiście leży na sercu naszym władzom szkolnym.

W tych warunkach powinna sprawa sadownictwa w kraju posuwać się w szybkiem tempie naprzód. Życzyć sobie tego należy gorąco ze wszech miar.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy w uzupełnieniu niniejszego artykułu zdjęcie fotograficzne, przedstawiające grupę uczestników wspomnianego kursu.

Kronika tygodniowa.

(Wiosna. — Rewolta w Turcyi. — Ość cesarza Wilhelma. — Konstelacye polityczne. — Podróże monarchów. — Siczyński i Brzozowski. — Opróżnione mandaty. — Rozdwojenie. — O narodowej solidarności. — Detronizacya sułtana. — Sytuacya w Konstantynopolu. — Kłopoty polityków europejskich. — Drobiazgi).

Że wiosna już w całej pełni panuje nawet i w naszym Krakowie, to każdy wie, kto miał sposobność przejścia się rozkopanemi ulicami. Rozpoczęcie tych robót jest symbolem wiosny i jedną z nierozłączających się z nią przyjemności. Bardzo sobie chwalą wiosnę wszyscy szczęśliwi posiadacze futer i urządzają formalny run na zakład zastawniczy przy naszej Kasie Oszczędności. Te wiosenne uniesienia spłukuje od czasu do czasu deszcz, który padał tylko ośm razy w ubiegłym tygodniu. Nie przeszkadza to jednak naszym wielkim politykom, że zamiast cieszyć się wiosną, myślą o dwu najważniejszych wypadkach, t. j. rewolucyi w Turcyi i udławieniu się cesarza Wilhelma ością.

Dawno już przepowiadałem (a przepowiednie moje sprawdzają się zupełnie tak samo, jak ś. p. Falba), że konstytucya turecka bardzo prędko skończy swój doczesny żywot. I tak się stało. Reakcya święci obecnie tryumfy, a sułtan w Ildiz-kiosku cieszy się, że w taki łatwy sposób wybrnął z kłopotu. Konstytucya była, ale jej już niema, a rzeczy wracają do dawnego trybu. Jak się sprawy ułożą, dziś przewidzieć nie można, wszystkie pisma polityczne przepełnione są wiadomościami z Konstantynopola, które przedstawiają sytuacyę w bardzo czarnych kolorach. Obecna rewolta jest dziełem Unii liberalnej, a skierowana jest przeciwko Młodoturkom, którzy w ostatnich czasach zajęli dominujące stanowisko w swej ojczyźnie. Nie obeszło się naturalnie bez tego, aby w całej historyi nie umaczali rąk Anglicy, którzy bardzo interesują się sprawami na półwyspie bałkańskim, o ile to może tylko popsuć krew Niemcom i Austryakom. W prasie tureckiej odzywają się głosy w sprawie zdetronizowania sułtana i ogłoszenia rzeczypospolitej z prowizoryczną stolicą w Salonikach, na wiwat rozlegają się strzały, których koszty mają być pokryte z odszkodowania, jakie Austrya zapłacić ma za Bośnię. Faktem jest, że obecny rząd turecki nie jest już austrofilski, natomiast skłania się więcej ku stronie angielskiej. Całym ruchem kierują softowie i ulemowie, stający rzekomo w obronie pogwałconego koranu. Żal mi bardzo sułtana, który już z samego posiadania kilku set teściowych zasługuje na poważne współczucie. Nadzwyczajne wydanie *Nowej Pressy* donosi, że gotów on zrezygnować z tronu, a następcą zostanie Reszad-effendi, młodszy brat sułtański. Młodoturcy stawiają dość ostre warunki, a szeik-ul-islam przygotował nawet podobno dokument w sprawie usunięcia sułtana. Wedle innych, także jednak niesprawdzonych pogłosek, miał sułtan uciec.

... której król

które jakoś zaczyna wychodzić z zawiasów. Baron Aehrenthal ma obecnie kłopoty z powodu upadku znaczenia Młodoturków, nie może więc zajmować się innemi sprawami, zwłaszcza że wie, iż cesarz Wilhelm załatwi interes w należyty sposób z korzyścią dla siebie i wiernego sojusznika.

Anglia bruździć narazie nie będzie, gdyż król Edward i w bieżącym roku wybiera się do Maryenbadu, aby odpocząć po trudach panowania i przyjrzeć się galicyjskim żydkom, którzy mu się tak podobają. Jeśli dodamy jeszcze, że książę Jerzy serbski wybiera się do Anglii, król Piotr do Petersburga, król Leopold belgijski na Syberyę (celem ostudzenia nadmiernego zapału), będziemy mieli dokładny obraz wędrówki monarchów, jaka zresztą corocznie w porze letniej ma miejsce. Co do księcia Jerzego, obawiam się, czy będzie mógł wykonać swój zamiar, rokowania bowiem austryacko-serbskie w sprawie odnowienia konwencyi handlowej się rozbiły i granica austryacka zamknięta została dla przewozu serbskiej nierogacizny, a tędy właśnie wypadałoby księciu jechać. W Rumunii zanosi się na strejk agrarny, w Budziejowicach zastrejkowali lekarze, w Tryeście aptekarze, Caruso stracił głos, Paderewskiemu skołczały palce — oto wiązanka wiadomości, które z polityką mają tyle stycznych, co zeszłoroczny nieurodzaj ryżu w Chinach z wystawą „Sztuki“ w Krakowie.

Proces Siczyńskiego nareszcie się skończył z przewidzianym wynikiem. Dał on sposobność lwowskim hajdamakom do objawienia swej szerokiej natury, co zresztą wpłynęło dodatnio na podniesienie krajowego przemysłu, gdyż szklarze zarobili. Za przykładem Siczyńskiego poszła i sprawa Brzozowskiego, którą także odroczono. Jak słychać Bakaj, obecnie klasyczny świadek we wszystkich politycznych procesach, zamierza porzucić swą dotychczasową karyerę i ubiegać się o jeden z opróżnionych w Galicyi mandatów. A mamy dwa do obsadzenia, jeden po Abrahamowiczu, nieboszczyku politycznym, drugi po Dzieduszyckim, nieboszczyku rzeczywistym. Kandydatów na opróżnione miejsce jest bardzo wielu, każde stronnictwo wysławia swoich mężów zaufania, z czego skorzystają zapewne Rusini i kto wie, czy wobec niezgody polskich stronnictw nie uda się im przeforsować swego kandydata. Bardzo odpowiednim byłby biskup Chomyszyn, który jako poseł mógłby wyrobić wtedy choćby order dla swego protegowanego księdza Onuckiego.

Za przykładem naszych rozdwojonych konserwatystów, ludowców i starorusinów poszli obecnie i młodoczesi, którzy także mają ochotę się rozdwoić, a zgrupować koło dwu organów prasy młodoczeskiej, *Narodnich listów* i *Dnia*. Nie bawią ich jednak podobne drobiazgi, jak naszych panów demokratów, którzy w ostatnich czasach zastanawiali się bardzo seryo, że dzieje im się krzywda z okazyi nominacyi nowych członków Izby Panów, gdzie demokracya jest stanowczo skrzywdzoną. Powodem wojny to nie będzie, co świadczy w każdym razie bardzo pięknie o poczuciu osobistej godności u panów

wszechnie sądzono, że skończy się na zawieszeniu konstytucyi, a wzięciu góry reakcyi, stało się jednak zupełnie inaczej. Młodoturcy, o których sądziliśmy, że stracą dotychczasowe znaczenie, nietylko nie stracili go, owszem poważnie zagrozili nawet sułtanowi i jego zausznikom. Nie jest wcale wykluczone, że nastąpi detronizacya sułtana, a obwołanie kalifem jego brata Reszada, sprzyjającego ruchowi młodotureckiemu. Wojsko, nawet gwardya zupełnie odstąpiły sułtana, który zamknął się w pałacu, drży o swe życie i kazał przygotować okręt do ucieczki. Szeik-ul-islam, głowa mahometańskiego duchowieństwa, przygotował podobno akt, uznający sułtana obłąkanym, co uzasadniłoby zmianę osoby panującego.

Armia, sprzyjająca ruchowi ciągnie w stronę Konstantynopola. Z chwilą wkroczenia jej w mury miasta, sułtan zamierza uciec do Mekki i stamtąd podburzać swych wiernych poddanych przeciw nowatorom, za jakich uchodzą Młodoturcy. Jest to bardzo prawdopodobne, zwłaszcza że cały okres panowania obecnego padyszacha jest jednym szeregiem intryg. I obecny ruch powstał na tem samem tle. Z Ildiz-kiosku wyszła zachęta do zaatakowania Młodoturków, sułtan sądził, że w ten sposób złamie ich przewagę, a rzeczy wrócą do dawnego porządku. Zawiodły go nadzieje!

Komitet młodoturecki, z którym ogromna większość ludności i armii sympatyzuje, ukonstytuował się jako centralny komitet dla całego państwa i wydał dwie proklamacye, jedną do prasy, drugą do narodu. Od prasy domaga się pouczania ludności, że ruch, skierowany przeciw wolnościowym dążeniom Młodoturków, inspirowany był przez niewiele osób, które pod pozorem obrony wiary i przywrócenia praw szariatu dążą jednak do celów egoistycznych. Cudzoziemców, zamieszkujących kraje tureckie należy zapewnić, że u Młodoturków znajdą zawsze skuteczną opiekę. Odezwa do narodu wylicza ofiary przez patryotyczną młodzież i armię poniesione w czasie trzydziestoletnich rządów absolutnych i wzywa do jedności i zgody, ponieważ w Europie są mocarstwa, które zagrażają istnieniu Turcyi.

Jak więc widać z niniejszego pobieżnego przedstawienia rzeczy położenie nad Bosforem jest rozpaczliwe i znów grozi zerwaniem europejskiej równowagi, którą z takim wysiłkiem i nakładem pracy i kosztów zdołali jakoś po zatargu serbsko-austryackim doprowadzić do skutku nasi dyplomaci. Rewolucya z Turcyi bardzo łatwo przenieść się może i w granice sąsiednich państw, np. do Bośni i Hercogowiny, nie mówiąc już o tem, że mimo zapewnień młodotureckich obecny ruch rewolucyjny bardzo łatwo może się zwrócić przeciw Europejczykom, co zmusiłoby mocarstwa do interwencyi, z okazyi której i same mogłyby się wziąć za łby. Uniknęliśmy jednej wojny, druga już wisi w powietrzu, to też baron Aehrenthal, choć chwilowo odetchnął, zaczyna na nowo się niepokoić. To przynajmniej go pociesza, że rządy wszystkich państw, podpisanych na traktacie berlińskim, oświadczyły już w Wiedniu zgodę na zmianę brzmienia traktatu, przez co kwe-

Przykry wypadek artystki.

Już po raz drugi wydarza się w tegorocznym sezonie operowym we Lwowie przykry wypadek zwichnięcia nogi przez artystę w czasie przedstawienia.



Przykry wypadek artystki: Irena Bohuss-Hellerowa.

W styczniu uległ temu wypadkowi p. Modest Męciński podczas „Zygfryda“, obecnie zaś spotkało zupełnie to samo p. Irenę Bohuss-Hellerową, znakomitą primadonnę lwowskiej opery.

Przykre to zajście wydarzyło się podczas ostatniego przedstawienia „Demona“. W pierwszym akcie, gdy p. Bohuss jako Tamara schodzi z góry, otoczona gronem dziewcząt na scenę, stąpiła źle na przysłonięty murawą dekoracyjną stopień i zwichnęła prawą nogę w kostce.

Mimo nieznośnego, bardzo dotkliwego bolu, odegrała artystka akt pierwszy do końca, panując nad sobą tak dalece, że nikt w widowni nie zauważył, jak przykry wypadek dotknął artystkę na scenie.

Dopiero podczas antraktu zawezwano do garderoby artystki obecnego na przedstawieniu fizyka miejskiego dr. Legeżyńskiego, a następnie prof. Ziembickiego. Lekarze zabandażowali nogę, lecz mimo to ból był bardzo silny. Na szczęście rola Tamary jest tego rodzaju, że artystka mogła ją odśpiewać w dalszej części w pozycyi siedzącej. Ból bowiem nie pozwalał stanąć jej na prawej nodze.

Dopiero pod koniec przedstawienia dostała się wiadomość o wypadku z za kulis do publiczności, wywołując ogólne współczucie dla znakomitej i taką sympatyą cieszącej się śpiewaczki.

Z powodu tego przykrego wypadku nie będzie mogła p. Bohuss przez dłuższy czas występować. W następstwie musiał też uledz zmianie repertuar operowy na najbliższe dni. Z okazyi przykrego tego wypadku zamieszczamy dziś portret p. Bohuss.

Twórca „Elektry“.

Na horyzoncie muzycznym Europy zabłysła niedawno temu i świeci wspaniałym blaskiem gwiazda pierwszorzędnej wielkości i siły — Ryszard Strauss. Już jego „Salome“ zachwyciła zwolenników nowożytnej muzyki zarówno w Europie, jak Ameryce. Bajeczne zaś powodzenie jego ostatniej opery p. t. „Elektra“, nawet za Alpami, gdzie muzyka obcego pochodzenia przyjmowana bywa z wielkim krytycyzmem, jest czemś wprost fenomalnem.

W teatrze medyolańskim „Della Scala“ wystawiono tę operę w bieżącym miesiącu, a krytyka tamtejsza uznała ją za arcydzieło muzyki współczesnej.

Prawdziwe tryumfy w „Elektrze“ święciła na scenie medyolańskiej Salomea Kruszelnicka, której prześliczny głos i wspaniałą grę z entuzyazmem podnoszą tamtejsze dzienniki. Oprócz Kruszelnickiej, która odtworzyła rolę tytułową, na jednozgodne pochwały krytyków zasłużył sobie także kapelmistrz Vitale, który umiał nietylko uplastycznić w orkiestrze instrumentalne piękności bardzo trudnej partytury „Elektry“, ale nawet nadać jej sympatyczny dla włoskich słuchaczów charakter.



Twórca „Elektry“: Ryszard Strauss.

Strejk w północnej Francyi.

Silny ferment wśród sfer robotniczych francuskich, który znalazł niespodziewanego sprzymierzeńca w ruchu strejkowym, jaki wykazał swą żywiołową potęgę podczas ostatniego bezrobocia funkcyonaryuszów pocztowo-telegraficznych w Paryżu, zatacza coraz dalsze kręgi. Między innymi częściowymi strejkami, do których przyszło po rozmaitych okolicach Francyi — strejk robotników w fabrykach guzików w Méru, należy do najpoważniejszych.

W miasteczku tem, położonem w odległości trzydziestu kilometrów od Paryża, kwitnie oddawna ta gałąź przemysłu. Lat temu jeszcze dwadzieścia kilka fabrykacya guzików w tem miasteczku uprawiana była, jako przemysł domowy. Wówczas zdolny robotnik zarabiał po 8 do 10 franków dziennie, dziś, gdy miejsce warsztatów domowych zastąpiły fabryki, zaledwie — pięć do sześciu franków. No i przyszło tam do tego, do czego gdzieindziej również przychodzi, a mianowicie że robotnicy składają winę zmniejszenia się zarobków na właścicieli fabryk, ci zaś tłómaczą się, że skutkiem zastoju w handlu nie mogą więcej płacić robotnikom.

Na tem tle przyszło w Méru do tak poważnych zaburzeń z okazyi strejku, że władze miejscowe widziały się zmuszone wezwać wojsko celem utrzymania porządku i ogłosić stan wojenny w samem miasteczku i sąsiednich miejscowościach, gdzie znaj-



Nauczycielski kurs sadownictwa: Uczestnicy kursu.

dują się fabryki guzików. Ryciny nasze przedstawiają: jedna patrol dragonów, którzy usiłują zapobiedz ekscesom i rabunkom, jakich dopuszczali się bastujący robotnicy, druga kordon do pomocy żandarmeryi przy aresztowaniu ekscedentów, którzy opierali się jej skutecznie.



Strejk w północnej Francyi: Kordon kawaleryi na jednym z placów w Méru.

Ujęcie włamywacza - świętokradzcy.

W ręce policyi krakowskiej wpadł w sobotę ubiegłego tygodnia niebezpieczny rzezimieszek, Jan Katarzyński, złodziej karany już kilkakrotnie a sprawca wielkiej kradzieży w kościele parafialnym w Częstochowie.

Ujęcie złodzieja zawdzięczać należy sprytowi dwu ajentów policyi krakowskiej, którzy w czasie przeglądu domów zajezdnych zwrócili uwagę na Katarzyńskiego, ponieważ powierzchowność jego i zachowanie się nie budziło wielkiego zaufania. Zapytany o nazwisko i zatrudnienie, podał je, dodając, że pochodzi z Nowej Góry koło Krzeszowic i że trudni się przemytnictwem oraz wyrobem sztucznych kwiatów. I to jednak nie zadowoliło ajentów, którzy zabrali się do dalszych indagacyi a następnie do rewizyi jego rzeczy, przyczem pokazało się, że przeczucia ajentów były najzupełniej uzasadnione i że ów rzekomy przemytnik jest niebezpiecznym złodziejem włamywaczem.

Znaleziono bowiem przy nim mnóstwo biżuteryi i drogocennych przedmiotów, przedstawiających wartość kilkunastu a może kilkudziesięciu tysięcy koron. Drogocenne te skarby ukrywał Katarzyński w kieszeniach ubrania i w starej skarpetce. Były tam pierścienie, wysadzane drogimi kamieniami, krzyżyki, wisiorki, kolczyki, szpilki, branzolety, brosze, łańcuszki, spinki itd. — a wszystko złote i wszystko bogato kamieniami zdobione. Zwłaszcza wartościową okazała się klamra, z rzeźbą i agrafą, ozdobioną prześlicznej roboty kameą.

Wobec takich dowodów winy, Katarzyński przestał mówić o sztucznych kwiatach i zeznał, że przedmioty te pochodzą z wielu kradzieży, w Królestwie Polskiem dokonanych. Ale i te zeznania następnie zmienił i dopiero wtedy przyznał się do tego, co istotnie zrobił, a mianowicie do włamania się a następnie okradzenia kościoła parafialnego w Częstochowie.

Opowiadał dalej nieco o swojej przeszłości, podając, iż odsiadywał już kilka kar, we Lwowie, Krakowie, Wadowicach, Kielcach, Piotrkowie itd. Specyalnością jego były kradzieże po kościołach.

Ostatnią swą kradzież w Częstochowie popełnił w nocy na 12 kwietnia, a więc w święta Wielkanocne. Do kościoła dostał się po drabinie przez okno, które wybił. W kościele zabrał wota z ołtarza N. P. Maryi, także z obrazu pokradł wota i korale. Potem powędrował do Poraja piechotą i wsiadł do pociągu, który przybył wprost do Krakowa. Tu jednak powinęła mu się noga i będzie musiał karyerę swą zakończyć w więzieniu.

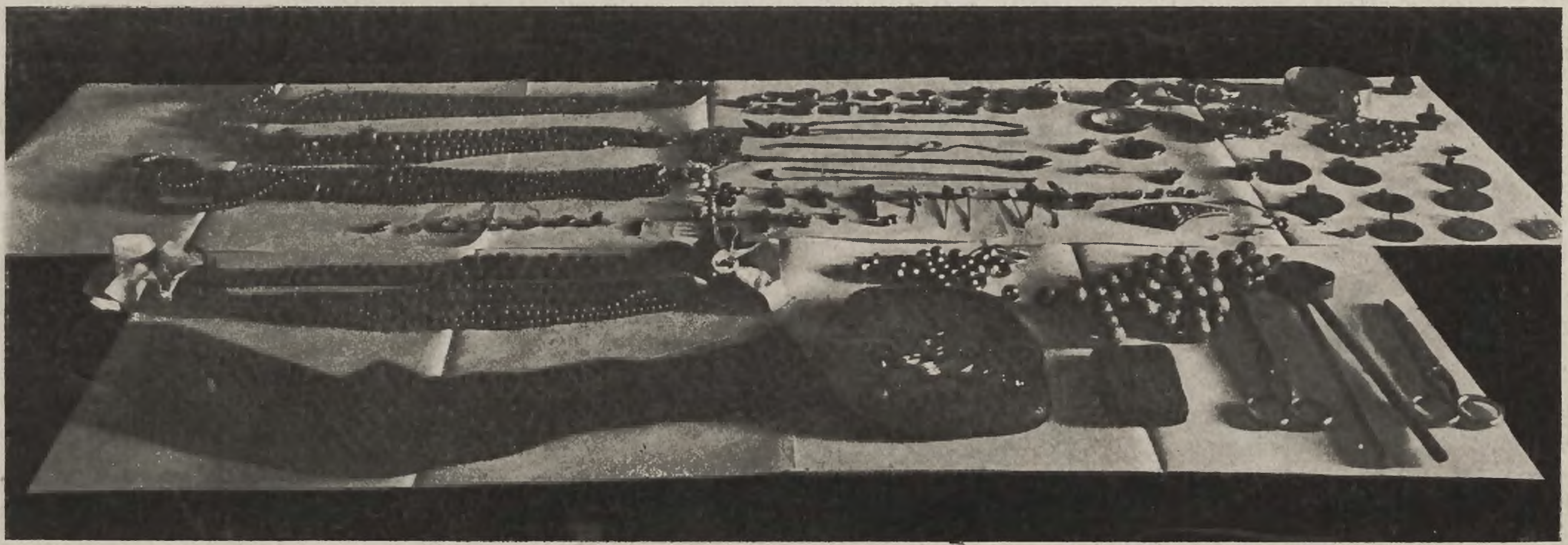
Towarzysz zastrzelonego Barcickiego.

Sensacyjne zajście w więzieniu sądu krajowego w Krakowie, które zakończyło się śmiercią Barcickiego *vel* Bilskiego, będzie miało swój epilog w rozprawie sądowej, wytoczonej przeciw wspólnikom zamierzonej zbrodni na osobie dozorcy więziennego Swituszaka. Proces ten odbędzie się w najbliższym czasie.

Oskarżonym jest Jakób Orkisz poddany rosyjski, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze. Orkisz zaraz po świętach miał być wydany władzom rosyjskim, jako winny całego szeregu morderstw i napadów bandyckich, popełnionych w Królestwie Polskiem. Wiedząc, co go czeka, nie zawahał się on z Barcickim ułożyć planu ucieczki, która była zależna od zamordowania dozorcy Swituszaka, a którą przypadkowo udaremnił dozorca Pasemko, ratując życie swemu koledze.



Strejk w północnej Francyi: Patrol złożony z dragonów, na ulicy miasteczka Méru.



Ujęcie włamywacza-świętokradzcy: Przedmioty pochodzące z kradzieży w kościele Częstochowskim, znalezione przy Katarzyńskim.

Oczywiście, że Orkisz, który o mało co nie udusił Bogu ducha winnego dozorcy, po odsiedzeniu w Austryi odpowiedniej za swój czyn kary, zostanie wydany władzom rosyjskim, aby poniość w Królestwie Polskiem zasłużoną karę za swe zbrodnie, tak silnie obciążające jego sumienie.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 15.

Logogryf: Andrzej hr. Potocki.
Szarada: Mandolina.
Arytmograf: Czarniecki — Stawiszcze.
Krzyż magiczny: Parapet, kwakier, pupilka.
Logogryf: Jan Kasprowicz.
Szarada: Rękawka.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. O. Górkowa Chyrów, A. Kłobukowski Wrocław, J. Lindenbaum Tarnopol, J. Czapla Kołomyja, A. Biliński Tarnopol, W. Klemensiewicz Lwów, B. Sochacki Kraków, Z. Łukasiewicz Kraków, M. Lerski Kraków, W. Ogoński Lwów, S. Reklewski Warszawa, B. Tymiański Kraków, Z. Gromnicki Tarnów, J. Biesiadecki Lwów, M. Ligęza Warszawa, J. Łazowski Łódź, W. Maksymowicz Czortków, W. Wasilewski Kołomyja, J. Keller Stanisławów, M. Ogibiński Czerniowce, H. Sokołowski Sokal, J. Jaworski Bochnia, J. Żugaj Wilamowice, A. Polończykowa Żywiec, St. Daniel Sosnowiec, R. Guzik Sosnowiec, A. Rotter Stanisławów, S. Danziger Osiny, H. A. Krupecki Lwów, A. Bierzecka Lisko, M. Łaszkiewiczowa Trzciana, J. Augustynowicz Żywiec, K. Fuchs Czeremchów, H. Harasowska Krowica, Z. de Boulange Gawłówek, M. Opolska Czarny Dunajec, E. Jezierski Kraków, A. Bogdalska Koropuż, E. Bandrowska Kraków, H. Chodkiewicz Warszawa, K. Michałowicz Nisko, A. Bocsoń Bóbrka, W. Laskowski Warszawa, St. Cześnikiewicz Kraków, W. Wurzel Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *Z. Łukasiewicz Kraków.* Upraszamy o nadesłanie 35 halerzy na koszta poleconej przesyłki.

Bolesław Leszczyński.

Od kilku dni gości scena krakowskiego teatru miejskiego, jednego z największych dziś artystów dramatycznych polskich, Bolesława Leszczyńskiego członka personalu warszawskich teatrów.

Występy Leszczyńskiego stanowią dla publiczności krakowskiej prawdziwą biesiadę duchową. Dzisiejszy kierunek w literaturze dramatycznej, tak odmienny od dawnego, wychował pokolenie artystów o zupełnie nowych poglądach na sztukę aktorską, na sztukę odtwarzania danych postaci. Zniknęły więc wspaniałe, o szerokim geście i wielkim rozmachu postacie bohaterskie, zniknęły typy szlachetnych rycerzów, wielkich panów, typy nieraz koturnowe, niemniej jednak wzniosłe i porywające.

Więc miłośnikom dawnych tragedyi Szekspirowskich i Szilerowskich, a także niektórych dramatów Słowackiego, tęskno za bohaterami tych tragedyi, dla których tak trudno dziś znaleść przedstawicieli. Przybycie zaś Leszczyńskiego w gościnę do teatru krakowskiego, dało tutejszej publiczności sposobność odetchnięcia znowu atmosferą wielkiej i prawdziwej sztuki.

Dotychczasowe występy wielkiego tego tragika polskiego w „Królu Learze“, „Mazepie“, „Poskromieniu złośnicy“ — przypomniały publiczności krakowskiej niezapomniane dotąd, a tak świetne czasy rozkwitu tutejszej sceny, przypomniały też znaną z dawniejszych lat, a tak wspaniałą, tak porywającą grę Leszczyńskiego.

Bolesław Leszczyński pracuje na scenie już lat bliskie pięćdziesiąt. Rozpoczął karyerę artystyczną w Wilnie, grywał następnie w teatrach prowincyonalnych, we Lwowie za dyrekcyi Miłaszewskiego i w Krakowie za Koźmiana. Od roku zaś 1866, a więc lat z górą czterdzieści, występuje stale w Warszawie.



Bolesław Leszczyński.

Nadzwyczajne zdolności i imponujące warunki zewnętrzne, pozwoliły temu artyście już w młodym wieku wybić się na czoło plejady artystów polskich. W otoczeniu takich mistrzów sztuki aktorskiej, jak Królikowski, Żółkowski, Modrzejewska, Romana Popiel, talent Leszczyńskiego rozwijał się i potężniał, a kreacye jego, zwłaszcza w zakresie bohatersko-dramatycznym, zjednały mu ogólne uznanie. Wielki jego talent pozwolił mu też opanować szereg ról współczesnego repertuaru, a z jakim wynikiem, dowiódł jego występ w roli Ruszczyca w „Złotem Runie“ Przybyszewskiego.

Wdzięczność i uznanie należy się dyrekcyi teatru krakowskiego, że zaprosiła Leszczyńskiego na występy, dając tem możność publiczności krakowskiej, a zwłaszcza młodszemu jej pokoleniu, zapoznania się z tym wielkim, znakomitym artystą.

Także dla personalu teatru krakowskiego występy Leszczyńskiego są bardzo pożądane. Personal ten ma w swem gronie bardzo wiele sił prawdziwie utalentowanych, mogących w przyszłości stanowić chlubę i ozdobę każdej sceny. Ale siły to młode jeszcze i wymagające troskliwej opieki, a przedewszystkiem dobrych wzorów. Leszczyński jest takim wzorem i to jednym z najlepszych.

Jest wzorem artysty wielkiego nietylko wrodzonymi zdolnościami, nietylko talentem, ale pracowitością i starannością. Każdą kreacyę swoją opracowuje bardzo szczegółowo i dlatego stwarza typy porywające plastyką i siłą wyrazu, nadzwyczajną ekspresyą dramatyczną, skończone pod każdym względem.

I tu leży przyczyna, dla której występy jego cieszą się tak wielkiem powodzeniem i zapełniają teatr każdego wieczoru.



Ujęcie włamywacza-świętokradzcy: Jan Katarzyński.



Towarzysz zastrzelonego Barcickiego: Jakób Orkisz.

Odpowiedzi Redakcyi.

Snemelk Śniatyn: Nadesłane zagadki umieścimy w miarę miejsca.

WP. K. k. Piotrków: I owszem, prosimy o zagadki, ale w liście należycie ofrankowanym, gdyż za ostatni dopłaciliśmy 15 hal. jako karne porto. Do każdej zagadki musi być dołączone rozwiązanie.

Ewusia Kraków: W miarę miejsca umieścimy. Obecnie teka nasza jest bardzo obficie zaopatrzona w zagadki różnego rodzaju.

B. Wierzejski, Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej

Magazyn nowości poleca tanio w nadzwyczajnym wyborze: **Koszule kolorowe i białe, Rękawiczki** z **gwarancyą trwałości, Kapelusze,** Przybory do podróży. Jako specyalność: **Krawatki i Perfumy.**

Nie sprzedaję nic pruskiego. Magazyn poddałem kontroli „Straży polskiej"



Wielkie wrażenie wywołuje w kołach lekarskich wynalazek

Wschodniej wody na porost włosów

„EVOE"

Evoe działa w ten sposób na cebulki włosów, że bezwaruukowo w przeciągu dni 8 o ile to tylko możliwe, wywołuje nowy porost włosów i brody. Łupież, łuszczenie się skóry i wypadanie włosów znikają pod gwaraacyą. **Evoe** czyni każdy włos gęstym i długim. **Evoe** przywraca siwym włosom ich pierwotny kolor. Cena jednej wielkiej flaszki **Evoe** wystarczającej na parę miesięcy, kor. 5·—, 3 flaszki kor, 12·—. Celem osiągnięcia białej, gładkiej i delikatnej cery, wolnej od wągrów, pryszczy i piegów należy używać następujących, bezwarunkowo nieszkodliwych preparatów: **Evoe** mydło za sztukę kor. 1·—, **Evoe** krem, słoiczek kor. 2·— i 4·—, **Evoe** puder (biały, różowy, kremowy) za pudełko kor. 2·— i 4·—. Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości przez

JAGUES BALOG
Wien I/504 Franz Josefs Quai 19.
Wyłączna sprzedaż na Kraków i okolicę: Apteka „pod Gwiazdą" Konstantego Wiszniewskiego Kraków, ulica Floryańska.

Grający na cytrze otrzymają **6** utworów i katalog darmo

A. NEUKIRCHNER
Görkau. (Czechy).

Najpopularniejsze tytonie

są: tak zwana »SIEDEMNASTKA« (Feiner Herzegowina Rauchtabak) paczka 34 halerzy i tak zwana »TRZYNASTKA« (Mittelfeiner türkischer Rauchtabak) paczka 26 halerzy.

Te dwie odmiany tytoniu w równych częściach zmięszane, dają doskonałą mieszankę. Bardzo smaczną jest w paleniu nadaje się **znakomicie do tutek cygaretowych „NORIS" oznaczonych literą** N

Również nadzwyczaj smaczną jest w paleniu ta mieszanka w bibułkach cygaretowych

‚Pobudka'

- - - Wyrobu fabryki „NORIS" - - -

Mra. W. Bełdowskiego w Krakowie.

Cena: »POBUDKA« w książeczkach 4 hal. w opakowaniu patentowem 6 hal.

Zwoleników kręconych papierosów zwracam uwagę na bibułki »POBUDKA«.

Przestańcie palić przeźroczyste bibułki.

Najlepsze jest najtańsze!

SINGERA

Maszyny do szycia okazały się najlepszemi.



SINGERA

Maszyny do szycia są w rzeczywistości najtańsze.

Singer Co. Tow. Akc. Maszyn do szycia.

Kraków, ulica Szpitalna 40.

OKAZYJNA OFERTA.

Resztki szyfonowe.

Wielkie ilości szyfonu, zefiru na suknie, oxfordu, płócien, resztki na pościel, każda resztka najmniej 4 metrów długości, wszystko nie puszczające w praniu, Ia jakości, wysprzedaje się z powodu uprzątnięcia magazynu, 1 paczka na próbę 40—45 metrow, sortowana

K 15·—.

Za nienadający się towar zwrot pieniędzy.

KARL KOHN, tkalnia płótna NACHOD Nr. 172 Czechy.



Ideałem piękna jest

barwa twarzy, gdyż tylko matowa i arystokratyczna cera jest znakiem prawdziwej piękności. Przez użycie kremu, pudru i

mydła Simon

nie ma się ani zmarszczek, ani wyprysków, ani też czerwonych plam, lecz zdrową i czystą skórę twarzy. Żądać tylko prawdziwych wyrobów.



Nr. 21 rewolwer Bulldog, kal. 7 mm, sześciostrzałowy, zupełnie czarny, ze składanym cynglem bezpieczeństwa, 14 cm. długi waży 26 dkg. K. 7·80.

Nr. 22. jak N. 21 tylko większy, kal. 9 mm. z ochraniaczem cyngla 16 cm długi waży 35 dkg. K· 8·60 25 patronów rewolwerowych 7 mm do rewolweru Nr. 21 K, –·96 25 patronów rewolwer. 9 mm. do rewolweru Nr 22 K, 1.10 —Illustrow, cenniki broni darmo i opłatnie.

Wysyłka tylko za zaliczką.

Franz Dušek, fabryka broni Opočno N. 73.

a. d. Staatsbahn, Czechy.

Marka ochronna: „Kotwica"

Liniment. Capsici comp.,

zastąpienie

Pain-Expelleru,

jest powszechnie znane jako **wyśmienite, bóle uśmierzające nacieranie;** do nabycia we wszystkich aptekach po cenie 80 hal., K 1.40 i 2 K. Przy kupnie tego powszechnie ulubionego środka domowego należy przyjmować tylko butelki oryginalne w pudełkach z naszą ochronną marką „**kotwicą**", wtenczas jest pewność, że się otrzymało wyrób oryginalny.

Apteka Dr. Richtera pod „złotym lwem" w Pradze,

ulica Elżbiety No. 5 nowy.

Wysyłka codzienna.



Mimo ogólnej drożyzny

sprzedaję moje towary i nadal po nadzwyczajnie tanich cenach. — Niklowy Remontoir kieszonkowy z marką Systemu Roskopf, 36 godzin idący wraz z pięknym łańcuszkiem K 3·90, trzy sztuki K 11·—, sześć sztuk K 20·— Zegarki damskie złote od K 20·—.

Bogato illustrowane cenniki darmo i opłatnie.

IGNACY CYPRES, KRAKÓW
ulica Floryańska 49.

PORTER ŻYWIECKI

z arcyksiążęcego browaru

nie mający konkurencyi.

Główny skład

LUDWIK LAZAR

Kraków, św. Anny 3.

Cenniki darmo i opłatnie.

PERFUMY krajowe francuskie i angielskie

Gąbki, Grzebienie i wszelkie inne artykuły toaletowe

NOWOŚĆ: MYDŁA na wydelikatnienie cery Violettes de Nice »Nr. 810« karton 3 sztuk za Koron 2.00.

Mydła kwiatowe o silnym zapachu karton 6 szt. Kor. 1·00.
Mydła toaletowe o silnych zapachach za 1 kg. K. 2·00.
Mydła przetłuszczone Malinowskiego z Warszawy.
Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.



Kule i kręgle
z drzewa Lignum Sanctum

Huśtawki ogrodowe,
hamaki i przyrządy gimnastyczne.

Reim i Spółka Kraków

Rynek 37 linia A. B.

polecają po cenach najtańszych

WANNY i MIEDNICE gumowe podróżne

LAWN TENNIS
RAKIETY, PIŁKI.
Piłki nożne.
Bomerang i Diabolo
najnowsza gra i zabawa.



Przybory do rybołowstwa.
Przybory podróżne i kąpielowe.

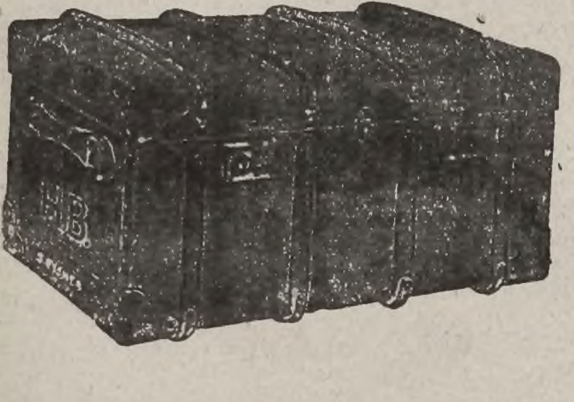
LAKIERY, KREMY i PASTY
do odświeżania i konserwowania bucików.

KIJE, Kule, Kręgielki i inne przyb. do gry bilardowej.

Kompletne aparaty do golenia „Gillet"

SYFONY i Kapsle SPARKLETS do sporządzania wody sodowej.

Cenniki darmo i opłatnie.



Zdzisław Zdanowicz

Kraków

ul. Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Tel. 516.

Magazyn galanteryjny, Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Leroux.

10 (Cąg dalszy).

W Nowym Zamku odrestaurowano dwa pokoje i mały salonik na pierwszem piętrze dla przejezdnych gości. W nich właśnie miałem spać ja i Rouletabille; państwo Darzac zamieszkiwali w Czworobocznej wieży, gdzie zarazem na parterze mieściła się sypialnia Boba. Profesor zaś Stangerson miał dla siebie pierwsze piętro w Wilczycy, ponad państwem Rance. Pani Edyta chciała nam sama pokazać pokoje przeznaczone dla nas. By dostać się do nich musieliśmy przejść przez kilka zapuszczonych i na poły zrujnowanych sal, w których porozrzucane kawałki starożytnych obić, złoconych sztukateryi, świadczyły o dawnej ich wspaniałości. Pokoje nasze były wyczyszczone, odnowione, umeblowane na sposób nowożytny; przedzielał je mały salonik, o którym już wspomniałem.

Gdym się przebierał, zawołałem na Rouletabille'a, czy jest już gotowy. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Zajrzałem do jego pokoju i przekonałem się ze zdziwieniem, że już go tam niema. Wyjrzałem przez okno na dziedziniec, nigdzie go jednak nie spostrzegłem. Przed oczami mojemi rozpościerała się nieskończona powierzchnia morza, które ze zmierzchem dnia przybrało ciemno-niebieską barwę. Dokoła panowała cisza, nie przerywana żadnym szelestem, żadnym szmerem ani na ziemi ani na niebie. Spokój taki obserwowałem nieraz tylko przed wielkiemi burzami i gromami piorunów. Niczego jednak podobnego nie mieliśmy się obawiać, noc zapowiadała się jasna...

Lecz cóż to za cień się zjawił? Skąd przybywa to widmo płynące po wodzie? Na przodzie małej barki, w której wiosłował jakiś rybak, stał wyprostowany Larsan! Tak, nie mylę się, to on! On! Fred! Milcząca barka z nieruchomą jego postacią okrąża cały fort. Przepływa teraz pod oknami Wieży Czworobocznej.

Przymrużając oczy, dostrzegam dwa cienie, stojące w rogu na murze przy małych drzwiach Wieży Czworobocznej. Jeden z cieniów, większy, powstrzymuje drugi i prosi. Mniejszy pragnie wyrwać się, jakby chciał rzucić się ku morzu. Dolatuje mnie głos pani Darzac:

— Uwaga! On sidła zastawia na pana! Zabraniam panu opuszczać mnie teraz!

I głos Rouletabille'a:

— On musi dopłynąć do brzegu. Pobiegnę tam!

— Co pan chce uczynić?

— Wszystko, co potrzeba.

I znowu przerażony głos Matyldy.

— Zabraniam panu dotykać się tego człowieka!

Więcej już nic nie słyszałem.

Zeszedłem na dół i znalazłem Rouletabille'a, siedzącego na ocembrowaniu studni. Zwróciłem się do niego, lecz nic mi nie odpowiedział, jak nieraz mu się to zdarza. Skierowałem się w głąb podwórza, gdzie spotkałem pana Darzaca, jak szedł wzburzony naprzeciw mnie. Zawołał zdaleka:

— I cóż! Widział *go* pan?

— Tak, widziałem *go*.

— A ona, ona, nie wie pan, czy go również widziała?

— Widziała go. Była razem z Rouletabille'm, gdy przepływał! Co za śmiałość!

Robert Darzac drżał cały. Powiedział mi, że jak go tylko spostrzegł, pobiegł jak szalony nad brzeg, lecz nie zdążył na czas, barka już zniknęła. Niepokojąc się o Matyldę, opuścił mnie zaraz, by ją spotkać, wkrótce jednak zawrócił z powrotem, smutny i przygnębiony. Żona jego pragnęła przez chwilę pozostać sama.

— A Rouletabille? — zapytałem.

— Nie widziałem go.

Stanęliśmy na murze, wpatrzeni w noc, w zmroku której ukrył się Larsan. Robert był nadzwyczaj smutny. By zwrócić myśli jego na inny przedmiot, zacząłem rozpytywać go o państwa Rance.

Zwolna dowiedziałem się od niego jak Artur Rance za pobytu swego w Filadelfii, znalazł się raz na prywatnej uroczystości rodzinnej koło młodej, romantycznej panny, która go odrazu oczarowała. Czując się zakochanym, nie pomny na poprzednią swą miłość do Matyldy, wypił za dużo wina i w nietrzeźwym stanie odezwał się do panny Edyty w tak nieprzyzwoity sposób, iż ta zabroniła mu odzywać się do siebie. Na drugi dzień Artur prosił publicznie o przebaczenie i przysiągł, iż pić będzie tylko wodę: przyrzeczenia swego dotrzymał.

Artur Rance z dawnych już lat znał jej wuja, Mundera, starego Boba, jak go nazywano w uniwersytecie. Był to jeden z najpopularniejszych i najsławniejszych profesorów tamtejszych, który pół swego życia spędził na poszukiwaniach wśród dzikich plemion. Był on nieobecny i na tej uroczystości rodzinnej, bawił bowiem wówczas wśród Patagończyków i pisał, iż z powodu choroby nie może prędko przyjechać, a nawet wątpi, czy kiedykolwiek powróci ze swej podróży. Gdy potem w trzy miesiące nadszedł nowy list niepokojący, Edyta postanowiła jechać do swego wuja. Przez ten jednak czas zaszło wiele zmian między nią a Arturem. Wzruszona jego żalem i postanowieniem nieużywania trunków, czego ciągłe dawał dowody, co raz milej na niego spoglądała, aż wreszcie oddała mu swą rękę. Nikogo też nie zdziwiło, że Edycie, gdy wyruszała do wuja, towarzyszył Artur Rance. Stary Bob, którego znaleźli w San-Louis, z wielką radością dowiedział się o ich zaręczynach i wkrótce wszyscy troje wrócili do Filadelfii, gdzie zaraz odbył się ślub młodej pary. W podróż poślubną wybrali się do Europy i zamieszkali obecnie w forcie na Czerwonych Skałach.

Opowiadanie Darzaca przerwał głos dzwonu i razem z Arturem Rance, który wyszedł po nas, skierowaliśmy się do Wilczycy, gdzie w dolnej sali został podany obiad.

Gdyśmy wszyscy zasiedli do stołu, Edyta zapytała, czy nie zauważył kto z nas małej barki, opływającej dokoła fortu, w której stał jakiś mężczyzna. Uwagę jej zwróciła szczególna postawa tego człowieka. Ponieważ nikt nie odpowiadał, mówiła dalej:

— Dowiem się, kto to jest, gdyż znam rybaka, który wiosłował. Jest to wielki przyjaciel starego Boba.

— Istotnie — zapytał Rouletabille — pani zna tego rybaka?

— Tak, przychodzi on nieraz do zamku sprzedawać ryby. Okoliczni mieszkańcy dali mu dziwne przezwisko, którego nie umiem powtórzyć w ich niezrozumiałem narzeczu, przetłomaczono mi je jednak. Ma ono znaczyć: „Kat morza!" Co za dziwna nazwa!

VII.

Rouletabille nie okazał się nawet na tyle grzecznym, by poprosić o wytłómaczenie powodów tego niezwykłego przydomku. Zdawał się być pogrążony w jakichś smutnych myślach. Powaby i czar pani Edyty nie zdołały nas ożywić. Były przy stole dwa młode małżeństwa, czworo zakochanych, którzy radością życia powinni wszystkich rozweselać, obiad jednak był ponury. Cień Larsana omroczył wszystkich, nawet tego, kto go się tutaj nie spodziewał.

Profesor Stangerson, gdy się wreszcie dowiedział o tym przerażającym fakcie, nie mógł się uwolnić od złych przeczuć, które go zresztą nie opuściły zupełnie od czasu poprzedniego dramatu. Wtedy stracił wszystko, wiarę w naukę, miłość dla pracy i co najboleśniejsze, uwielbienie dla córki. Zrozumiał, dlaczego nie chciała wyjść za mąż. Gdy Matylda padła ojcu do nóg i wszystko wyznała, że jest żoną Ballmeyera, gdy mu opowiedziała rozpacz swego serca i męki młodości, profesor Stangerson przycisnął do piersi drżącą córkę, na jej ukochanej głowie złożył pocałunek, łzy swe zmieszał z łkaniem drogiego dziecka, przysiągł jej, że stała mu się jeszcze droższą, gdy dowiedział się, jak cierpiała, lecz gdy został sam, poczuł, iż w piersi mu coś pękło, iż utracił swą córkę.

Zacząłem przyglądać się obecnym przy stole i poznałem właściwe przyczyny ogólnego smutku. Państwo Darzac siedzieli przy sobie. Gospodyni widocznie nie chciała rozłączać tak niedawnych małżonków. Muszę powiedzieć, iż z nich dwojga Robert był więcej zrozpaczony. Nie odzywał się wcale, podczas gdy Matylda wtrącała się jeszcze do rozmowy. Wydała mi się dziwnie spokojną: gdym potem zwierzył się ze swem spostrzeżeniem Rouletabille'owi, wytłómaczył mi, iż pani Darzac obawiała się najbardziej pomieszania zmysłów: ta zaś, choć okrutna pewność, iż nie uległa w wagonie halucynacyi, wpłynęła na nią dodatnio. Wolała bronić się przed Larsanem żywym, niż przed jego widmem. Następnie zwróciłem oczy na państwo Rance, lecz w tej chwili wszedł służący i oznajmił, iż portyer Bernier chce coś natychmiast zakomunikować Rouletabille'owi. Ten wstał zaraz i wyszedł.

— Jakto! — odezwałem się — starzy Bernierowie nie są na dawnem mieszkaniu?

Profesor Stangerson odpowiedział mi, że po jego wyjeździe wszystka służba opuściła Glandier, jego posiadłość. Ponieważ zaś państwo Rance potrzebowali portyera, profesor zarekomenderował im Bernierów.

Rouletabille nie zdziwił się wcale, że pragnie z nim mówić stary Bermier. A więc, pomyślałem, on już wie o ich obecności w zamku. Gdym ja się ubierał, on widocznie spiesznej tego dokonał i zdążył już zapoznać się z mieszkańcami fortu.

To niespodziewane wezwanie Rouletabille'a przeraziło wszystkich. Każdy się zapytywał, czy nie jest to w związku z Larsanem. Pani Darzac zaniepokoiła się, spostrzegł to Artur Rance i uznał za konieczne okazać również pewną lękliwość. Muszę tu nadmienić, iż ani on, ani jego żona nie wiedzieli o małżeństwie Matyldy z Rousselem, który stał się następnie Larsanem, doskonale jednak byli poinformowani o zaciekłości, z jaką ścigał i prześladował Matyldę dawny detektyw. Artur Rance, pamiętając o swej miłości dla córki profesora Stangersona, tłómaczył to sobie jakiemś szalonem uczuciem zbrodniarza dla swej dawnej ukochanej, pani Edycie jednak sprawa ta nie wydawała się dość jasną. Spoglądając teraz na nią, widziałem zazdrość na jej twarzy a w czarnych jej oczach świeciła się złość, gdy spostrzegła, jak mąż patrzy z uwielbieniem na żonę Roberta Darzaca.

Dokończyliśmy obiadu w milczeniu i szybko powstaliśmy od stołu. Matylda po wyjściu z Wilczycy zaniepokoiła się zaraz o Rouletabille'a i musiałem poprowadzić ją do bramy wjazdowej. Darzac i pani Edyta szli za nami, Artur Rance dogonił nas przy samem sklepieniu. Noc była jasna, księżycowa, przy wejściu jednak paliły się latarnie; dochodził nas odgłos ciężkich głuchych uderzeń. Usłyszeliśmy zachęcające słowa Rouletabille'a: „Jeszcze trochę, zaraz skończymy!" i głośne sapanie otaczających go ludzi. Wreszcie rozległ się straszny łoskot. Dwa potężne odrzwia ogromnej bramy, której z powodu olbrzymiego ciężaru nie zamykano od przeszło stu lat, zatrzasły się teraz z tym hukiem.

Pani Edyta zdziwiona tem, zapytała, co się stało z żelazną furtką zamykającą dotychczas wejście do fortu; mąż trącił ją nieznacznie w ramię, zrozumiała, że winna być cicho, mimo to szepnęła jeszcze: „mógłby kto pomyśleć, że grozi nam oblężenie". Rouletabille jednak prowadził już wszystkich w głąb dziedzińca, mówiąc z uśmiechem, że jeżeli pragnąłby kto obecnie wybrać się do miasta, musiałby na dzisiejszą noc zaniechać swego zamiaru, nikt bowiem nie może już wyjść ani wejść do fortu.

(Ciąg dalszy nastąpi).